



PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK VII.

Zeszyt XII. Miesiąc Czerwiec 1873.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor L. Powidaj.

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

W KRAKOWIE

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządkiem Józefa Zakocińskiego.

1873.

<http://rcin.org.pl>

WĘDRÓWKA PO GALILEI.

Komedia nieprzyjęta na deski.

PROLOG.

Scena przedstawia pokój

SCENA 1.

WARSZAWIAK, LITWIN, WOŁYNIAK.

(Chodzą żywo po scenie zamyśleni)

WARSZAWIAK. Milion kroć stotysięcy djabłów!

WOŁYNIAK. Bodaj ich ziemia požarła.

LITWIN. Bożeż mój Boże! (*stają na środku*).

WOŁYNIAK. Rozpacz bierze! życie się przykrzy, wytrzymać nie można.

WARSZAWIAK. Wszystko po moskiewsku, ani przeczytać, ani zrozumieć; dzieciaki wychowuj Bóg wie po jakiemu, na Moskali, a przy wielkiej łasce Boskiej w najlepszym razie na osłów.

LITWIN. Już u was w Koronie jeszcze pół biedy, ale przejdź się serdenko po naszej Litwie: poprobuuj, jak to miło

w naszym Wilnie: ze wszystkich stron chcą ciebie *abrusić*, a ty nawet nie waż poskarżyć się.

WOŁYNIAK. A ja wam mówię, że jeszcze u was nie tak źle jak u nas.

LITWIN. Gadaj zdrów... u nas najgorzej.

WOŁYNIAK. Właśnie że nie, u was mieszczaństwo polskie, szlachty więcej i lud prosty przychylny; u nas jak resztę szlachty wywłaszczą zostanie pop, chłop, czynownik i żyd.

WARSZAWIAK. Nie macie o co kłócić się — wszędzie źle i kwita.

LITWIN. Boże zmiłuj się, to już teraz wszędzie taka bieda na świecie.

WOŁYNIAK. Bieda nam, ale innym raj — Moskałom dobrze, Włochom jak w raju, Niemcom jak u Pana Boga za piecem, Węgrom doskonale, Francuzom...

LITWIN. Chyba że Francuzom nie, bo oni także w djabelnej tarapacie.

WOŁYNIAK. Ale Anglikom, Amerykanom, Szwajcarom, Turkom, Belgom, wszystkim wybornie, tylko nam gorzej jak Murzynom, najnieszczęśliwszy naród na całej kuli ziemskiej.

WARSZAWIAK. Nie przesadzaj — jesteśmy nieszczęśliwi, ale nie wszyscy. A czy to naszym w Galicyi źle? Życie publiczne panie! Sejm panie! w Wiedniu trybuna otwarta, z której mogą tak mówić, żeby ich cała Europa słyszała. Samorząd panie! Administracya w ich ręku, rady miejskie i powiatowe. Gmina i wolność prasy, stowarzyszenia!! Gdyby chcieli, mogliby mieć takie samo towarzystwo rolnicze jak my przed powstaniem!..

LITWIN. Oj to prawda: pan Józef stryjeczny pana Pawła, wuja pani Michałowej, mojej ciotecznej był w kąpielach za kordonem. Otoż zdarzyło się, że był na jakimś obiedzie publicznym, gdzie było więcej sta osób. I wyobraźcie sobie ile osób tyle mów, a wszystkie patryotyczne, a w każdej coś (*ogląda się ciszej*) o Polsce. A policyanta ani na próbkę — ani mru-mru! Dalibóg to nie do uwierzenia.

WOŁYNIAK. Ech co tam mowy, głupstwo, marne słowa, z których nic nie zostanie. Ale oni tam mają lepsze rzeczy. Kolejami jeżdżą od wsi do wsi, i wizyty sobie oddają, a pra-

wie nic nie kosztuje, bo jak kupisz akcyę, to taki daje procent, że i na jazdy wystarczy i jeszcze odłożysz.

LITWIN. Czyż być może?

WOŁYNIAK. W miastach co drugi dom to bank, a obywatelom pożyczają na ziemię bez procentu.

LITWIN. Jakżeż to może być... nie pojmuję.

WOŁYNIAK. Oto widzisz każdy bank wypuszcza swoje papiery, za które im w Wiedniu na giełdzie ogromne procenta płać, bo potrzebują tam gotowizny, ale papiery, jak oni ich zazywają *Kassenscheiny* muszą być hipotekowane na ziemi — więc obywatelowi pożyczają bez procentu, żeby tylko pozwolił zahipotekować.

LITWIN. Patrzaścież.

WOŁYNIAK. A ziemia tam dwadzieścia razy więcej warta jak u nas, to można ogromnie obdłużyć.

LITWIN. Dlaczegoż jest tak wielkiej wartości?

WOŁYNIAK. Bo gdzie zapiścisz świder, tryska fontanna nafty — leje się i leje i im więcej bierzesz, tem więcej płynie, a sprzedajesz tak drogo jak oliwę, więc pieniędzy lak lodu — że sam nie wiesz co z niemi robić.

WARSZAWIAK. No tak znowu nie jest, ale zawsze szczęśliwy kraj i szczęśliwi ludzie.

LITWIN. Mają wolność, a Sybiru nie mają.

WOŁYNIAK. Mają koleje, banki, giełdy, akcyę, naftę, węgle, sól, siarkę, cynk.

WARSZAWIAK. Ruch umysłowy, książki, szkoły — a nawet akademię umiejętności. Szczęśliwi ludzie. — Aj umieli byśmy z tego korzystać.

LITWIN. Choćby i nie korzystać, to już i tak przystałbym na zmianę. Cóż to za szczęście nie mieć nad sobą sprawnika i kozaka z nahajką.

WOŁYNIAK. Ja kwituję z zamiany, ale chciałbym tam być choć na kilka dni, zobaczyć jak bogaty, przemysłowy i wolny kraj wygląda.

LITWIN. Takóż i ja chciałbym, wszelako paszportu nie dadzą.

WARSZAWIAK. Ja nie mógłbym dostać, bo jestem pod dozorem policyjnym. Próżna chęć dla nas te gody — ale choćby odetchnąć tamtejszem powietrzem, choć raz w życiu.

LITWIN (*cicho oglądając się*). Powietrzem wolnem, polskim.

WOŁYNIAK. Odżyć w atmosferze swobody i bezpieczeństwa czynności produkcyjnej pracy.

WARSZAWIAK. Politycznego rozumu — Och gdyby to można.

LITWIN (*wzdychając*). Gdyby!!!

WOŁYNIAK. Gdyby!!..

WARSZAWIAK (*dekluuje*).

Znaszli ten kraj, gdzie po dawnym zwyczaju

Ojczysty sejm nad dobrem radzi kraju.

Gdzie dzielną młodź kształci nam szkolna rada,

A zgodą wnuk błędy maże pradziada,

Och tam o moi mili!

Cudowny kraj!

Ach tam jest raj!

O gdybyśmy tam byli!

LITWIN.

Znaszli ten kraj gdzie nie ma prawosławia,

Gdzie płatny szpieg, strachem cię nie nabawia,

Gdzie konfiskat nie znasz, ni kontrybucyi,

W Sybir nie szlą a bat pleców nie młóci.

Ach tam o moi mili!

Uroczy kraj.

Ach tam jest raj!

O gdybyśmy tam byli!

WOŁYNIAK.

Znaszli ten kraj, gdzie przemysł codzien wzrasta,

Gdzie skrętny lud, na drożdżach rosną miasta,

Gdzie błogi byt — pieniędzy masz jak lodu

I nowy świt wschodzi nam dla narodu.

Ach tam o moi mili!

Rozkoszny kraj!

Ach tam jest raj!

O gdybyśmy tam byli!

(Nagle chwilowo ściemnia się — błyskawica rozdziera ciemności, piorun uderza).

SCENA 2.

DAWNI i TWARDOWSKI (*wysuwając się z pod ziemi*).

(Konfederatka czerwona z czarnym barankiem kipi za ucho, czupryna wygolona, wąs zawieszysty, krótki biały żupan, spięty pasem skórzanym z klamrą, szarawary amarantowe, buty czarne wysokie, u boku karabela w pochwie skórzanej, przez plecy Teorban. (Tak sobie lud go wystawia).

LITWIN, WARSZAWIAK, WOŁYNIAK (*razem*).
Wszelki duch Pana Boga chwali!

TWARDOWSKI (*śpiewa*).

Przez łeb kresa, w mieczu szcerb,
A na czole z wina paś,
To mojego rodu herb
Brodę gołą — wara wąs!
Przyjdą djabli — ja do szabli,
Czapka na bok poły w pas
Jak się zbliżą — chlust dwa krzyże
Gdzieście djabli? nie ma was!

WARSZAWIAK i WOŁYNIAK (*z zadziwieniem*). Twardowski!!?

LITWIN (*żegnając się ukradkiem*). Dalibóg, taże to on?

TWARDOWSKI (*rezolutnie*). Czołem panowie bracia. Twardowski do usług, a waszmość panów brat i sługa. Usłyszawszy w podziemnych regionach waszmościów tęskne za onym krajem wzdychania, ulitowałem się waszej żalości i umyśliłem panom braciom dogodzić, a jako drugi Mojżesz wywieść was z ziemi ucisku i domu niewoli, a zaprowadzić do onej obiecanej galicyjskiej ziemi, abyście się oko w oko tamtejszej szczęśliwości napatrzyli. Co to, nie odpowiadacie? Czy to szlachta polska zaniemiała od moich czasów? czy wam ano bat usta zarygłował?

WOŁYNIAK (*cicho do Warszawiaka*). Przemówże do niego.

LITWIN (*podobnie*). Odpowiedz mu rybeńko, przecież ty Koroniarz, to o koncept nie trudno.

WARSZAWIAK (*podobnie do nich*). O ba! jacy jesteście pokorni, kiedy dusza na ramieniu.

TWARDOWSKI. No i cóż zbiliście się jak barany w kupe i mruczycie jak żydy na boruchach.

WOŁYNIAK (*jak wyżej*). Tyś Warszawiak, tobie należy się pierwszeństwo.

LITWIN (*podobnie*). I z wieku i z urzędu.

WARSZAWIAK (*do siebie*). Juźcić dla samego honoru Warszawy pierwszeństwa ustąpić nie mogę (*głośno*). Witamy szanownego pana... oto.... prawdziwie... ten panie dobrodzieju... bardzo... istotnie... jesteśmy... jesteśmy...

TWARDOWSKI. I cóż jesteście?

LITWIN (*podpowiada*). Wdzięczni panu dobrodziejowi.

WARSZAWIAK (*powtarza*). Wdzięczni panu dobrodziejowi.

WOŁYNIAK (*podpowiada*). Że raczyłeś fatygować się.

WARSZAWIAK (*powtarza*). Że raczyłeś fatygować się.

TWARDOWSKI (*zniecierpliwiony*). Ej do kroć set diabłów czy waszmość jesteś z infimy, że czekasz aż ci kondyscypuł podpowie co masz recytować. Oto lepiej powiedz, że na mój widok zapomniałeś języka w gębie, że wszyscy waszmoście stehórzyliście jak baby. Ja tu nie mam czasu z waszmościami w długie wdawać się dysputy. — Mielicie ochotę peregrynować do Galilei, stawilem się — deklarując się być wam konduktorem. Macie więc wóz i przewóz — decydujcie się *stante pede, aut caesar, aut nihil*; chcecie, to dobrze, a nie chcecie to pal was djabli kunktatorowie.

WARSZAWIAK. Kiedy... bo.., panie dobrodzieju nie mamy pasportów.

TWARDOWSKI. Furda pasport — przebedziemy granicę wnętrzościami ziemi.

LITWIN. A nuż nas podpatrzą szpiegi, których słyszałem w Galicyi ma być bardzo dużo i zdenuncyują generał-gubernatorowi.

TWARDOWSKI. Nie poznają was — moja w tem rzecz.

WOŁYNIAK (*do drugich*). A gdyby spróbować.

WARSZAWIAK (*podobnie*). Ja mam wielką pokusę.

LITWIN (*podobnie*). Wszelako obawiam się, zawsze to duch nie czysty, gotów nas zamiast do Galicyi do piekła zaprowadzić.

TWARDOWSKI. Nie mruście waszmoście po cichu, bo wiem wszystko, nietylko co mówicie, ale i najskrytsze wasze myśli (*do Litwina*). A waści ostrożny panie Serwacy, dają solenne verbum nobile, że ani na duszy, ani na ciele, ani na majątku, ani na wolności najmniejszego nie poniesiesz szwanku.

LITWIN. Verbum nobile? ale czy... tylko dotrzymasz?

TWARDOWSKI. Jeślim go djabłu dotrzymał... bo przecież musiałeś czytać Mickiewicza Litwinie?

LITWIN. Ach zmiłuj się — jakżeżbym nie czytał, na pamięć umiem — na pamięć ekspedyte.

TWARDOWSKI. No więc i waści dotrzymam — masz moją rękę (*do wszystkich*). Jakże, decydujecie się?

WARSZAWIAK (*wahając się*). Kiedy to widzisz pan dobrodziej.

TWARDOWSKI. Kiedy, ale, gdyby, żeby... Jak widzę szlachta polska zawsze taka sama, nigdy nie wie czego chce; wdychają, płaczą, lamentują, chcieliby zajrzeć do tego raję bogdaj przez dziurkę od klucza, a kiedy ich chcę zawieźć tam z niemalą moją molestją, to jeden się waha, drugi nie wie co robić, a trzeci stchórzył jak baba.

WOŁYNIAK. Wstyd, gotów jeszcze rozpałać po tym świecie, żeśmy tchórze. Niech się dzieje co chce, ja idę z waszmością.

WARSZAWIAK. A więc i ja.

LITWIN (*po cichu do drugich*). Czy tylko uchowaj Boże nie jest to szpieg przebrany.

TWARDOWSKI (*chwytając za karabelę*). Milion kroć set zatanów! powtórz mi aś głośno, a uszy ci obetnę.

LITWIN. Wybacz i nie gniewaj się dobrodzieju, ale wiadomo, że kto sparzy się na gorącym...

TWARDOWSKI. Ten na zimno dmucha. Wiem, wiem, że Litwin zawsze ostrożny i rozsądny i wybaczam waści jedynie przez gorący afekt dla poczciwej braci litewskiej. — Ale jeździ waszeć wolisz zostać.

LITWIN. Ta cóż robić — dla kompanii dał się cygan powiesić (*daje mu rękę*). Zgoda!

TWARDOWSKI. To i dobrze. Uchwycieź się asaństwo mego pałasza i trzymajcie, żebym was gdzie w drodze nie pogubił. W drodze milczeć jak ryby — ani mru mru (*robi znaki karabelą w powietrzu*). To moja laska czarnoksiężka... Hokus... pokus! — Odważnie i z determinacją (*zaczynają się zwolna zapadać*).

C H Ó R.

Znaszli ten kraj, kędy bracia rodacy,
Wskrzeszają byt śród organicznej pracy,
Gdzie Polski cześć żywym blaskiem jaśnieje,
Zkąd biednym nam cudne świecą nadzieje.
Ach tam... o... m...

(*Nikną — słysząc ginący śpiew pod ziemią, kortyna bardzo wolno zapada*).

KONIEC PROLOGU.

INTERMEZZO.

Pomiędzy prologiem a Iszym aktem, Teatr przedstawia Rynek krakowski.

SCENA 1.

KRAKÓW (sam) (*Ubrany jak dziad od Panny Muryi, na głowie ma połamaną koronę, na ramionach podarty płaszcz królewski, opiera się na złamanem berle jak na kiju*).
Lubię kiedy mi hołdy oddają, bardzo lubię. To przecie tak przyjemnie, jak (*zażywa*) dobra tabaczka, albo jak kadzidło w kościele... Nie ma co mówić, hołdy mi się należą. Bo pytam się kto tu najpierwszy?... Kto najstarszy?... Czy nie ta modna elegantka? ta zalotna syrena warszawska?... Wyróżwana (*spuszcza oczy ze wstydu*) wybielona, krzykliwa, ha-

śliwa... toż to dzieciuch, nie mający jeszcze czterech nędznych wieków i to kiepskich elekcyjnych czasów — a kto w niej rezydował? Jakiś Szwed, jakieś Sasy i pan stolnik Poniatowski? Śliczni mi królowie, dorobkowicze, to nie moje Piasty i Jagiellony (*zażywa tabaczkę*). Albo może Poznań? no, co do wieku, toć tam jeszcze ujdzie... ale gdzie Wawel? he? gdzie smocza jama? co? gdzie sukiennice (*patrzy z lubością na sukiennice*) pocziwe moje sukiennice — biedaczki, aż je kijami popodpie-rano, a nim zaborą się do restauracyi to i te podpory pogniją. Oj ta rada, ta rada. Djabeł (*żegna się*) nadał mi ten wymysł rewolucyjny — no tylko że w niej sami moi obywatele. Ale są i bluźniercy Galileusze między nimi, którzy chcą zburzyć ten klejnot! ten najpiękniejszy zabytek starożytności! infamisy! (*zażywa tabaczkę*) albo może ten firecyk, ten wie-deński furfant, ten niemiecko-żydowski dorobkowicz, ten przekłety Lwów. Zkąd jemu równać się zemną (*z dumą*) *Carrodunum ptolomeuszowskiem* z VI wieku!!? Wielu ja to królów wychował? Wielu pochował, a on co widział? kokoszą wojnę! i króla Jana przypadkiem — i tego mizeraka Michałka, jak się objadł grzybów i u niego umarł na niestrawność... przekłety fantaron. To też znać na mnie zem pan. Powiadają, że purpura trochę wytarta (*ogląda suknie*) może być... ale powaga jest... impozycya jest, jest senatorska wspaniałość! (*przechadza się i zażywa tabaczkę*). Prawdę mówiąc, to może i są większe miasta na świecie — ale gdzież taka wysoka wieża, jak moja Maryacka? he..... mój Rynek największy plac miejski, a mój kościół Maryacki największy kościół na całej kuli ziemskiej. Chciałbym tylko wiedzieć, czy moja Wisła jest największą rzeką na całym świecie. — Plotą, że w Warszawie jest większa, ale to warszawski wymysł i basta. A *Alma mater Jagiellonica*... a planty!... puh!.. Do tego jakie u mnie towarzystwo — to faubourg St. Germain w ką. Żyda ani na lekarstwo.... Szlachty już się tam niby trochę wkręca... ale dzięki Bogu bardzo mało... Same karmazyny, księżęta, komesy i to nie takie jak za Wisłą nowej kreacyi za 10,000 reńskich. Obyczaje pańskie, święte... panny najpiękniejsze z całej Korony i Litwy. To też o ile mogę jak najrzadziej wydaje je za mąż, żeby od siebie niewypuszczać. Martwi mnie wprawdzie, że mam teatr, bo to zawsze ogromnie

grzeszna instytucja... ale gdy go zburzyć nie można, to przynajmniej pociesza mię, że najlepszy na całą Polskę, może lepszy i od cudzoziemskich, zamorskich.... Nie mogę tego sprawdzić, bo nie wyjeżdżam nigdy za rogatki... Koleją się brzydzą, w fijakrze nie wypada, a na karocę nie stać — więc tylko raz na rok używam przejażdżki na moim kochanym staruszkuniku zwierzyńskim. Zresztą siedzę w domu i pacierze klepię, bo z Galileuszami i tym podobnymi przybłędami nie dla mnie towarzystwo (*siedzi na kamiennej ławce, pod domem i zażywwszy tabaki dobywa różaniec i zaczyna przesuwac paciorki*).

SCENA 2.

KRAKÓW i LWÓW.

LWÓW (*wpada modnie i przesadnie ubrany w króciutkiej marynarce, na oku binokl, na głowie imponierka, kamizelka wygorsovana spięta pasem rzemiennym z orłem polskim — szarawary szerokie, spodnie w buty, rękawiczki kanarkowe*). Pech, ist pech! Wiedeński personencug spóźnił się, a nasz odjechał. Taki muszę siedzieć w tej przeklętej dziurze u tego zbankrutowanego grzyba. Słowo daję, to je z czego umrzeć i gdybym nie był młody, gdybym nie miał tyle sił żywotnych i nie był w pełnym rozwoju mego ustroju, gotówbym skrepirować jak Boga szczerze kocham. Ale może to i nieźle politycznej stolicy pełnej politycznego życia i politycznego rozumu, poznać swego politycznego nieprzyjaciela. Otóż poznawszy go już teraz nie dam nikomu zapoznawać moją nad tym dziadem wyższość. Darmo, ja jestem stolicą kraju koronnego, a on pensyonowanym gracyalistą na moim chlebie, nawet w największej potrzebie nie potrafiłby mnie suplować, ni! Ale abstrahując od wszelkich historycznych wywodów, czy un ma aby jeden dum porzomny? ni. Czy un ma sztathalteryą? ni! Czy ma wydział krajowy? ni! ani jednej dykasteryi, nawet dykasteryalnej ulicy. Czy un ma aby jedne takie kawiarnie jak Józia? Albo towarzystwo demokratyczne? a gdzie kasyno?

a gdzie okół, a gdzie Jancio i Narodówka? albo Dziennik polski i Lam? może ten zapleśniały Czas, albo niedowarzony Kraj? A czy jego Djabeł wart Szczutkowi buty pucować? Ja to jestem miasto pierwszej rangi NB. po Wiedniu na całym świecie: mam najmodniejszy ekwypaży i takie arystokracie o jakiej od stworzenia świata nikt nie słyszał.

KRAKÓW (*wyjmując staroświeckie okulary i zasada na nos*). Czy mi się śni, czy mię oczy zawodzą... nie, nie (*wstaje*). Wszak to ten furgoł, ten fanfaron, wiercipięta, ten podły parweniusz? Co on tu robi?

LWÓW (*sposzeregając go*). Jak Boga szczyrze kocham, to on sam przechodzi się po swoim królestwie... z jaką dumą? wygląda jak król Lear, ale jak Lear, kiedy go oddawali do pijarów.

KRAKÓW (*do s.*). Z jaką to arrogancją na mnie patrzy przez te modne szkiełka — nawet czapki nie zdjął... ha, ale cóż robić, jestem u siebie, trzeba być grzecznym (*głośno*). Witam cię młodzieńcze — miło mi przyjąć twoją submisję — pięknie to z twojej strony, że chcesz wziąć udział w hołdzie, jaki dziś składać ma cała Rzeczpospolita przez swoich wybrańców.

LWÓW (*do s.*). Co on plecie? pomięszało mu się do reszty w łepiecie (*głośno*). Przepraszam pana — pan mnie bierziesz za kogo innego (*z szyderstwem*) może za tego księcia pruskiego co podobno panu miał składać hołdy przed tysiącem lat..! Ja jestem Lwów, rozumi pan, Lwów, i sam hołdy przyjmuję, ale ich nikomu nie oddaję.

KRAKÓW. A to szkoda, bo tylko ciebie kochanezku brakowało do kompletu. Za chwilę będą tu Litwini, Wołyniaki, Warszawiaki, a Poznańczyk już z kolei wysiada, więc byłem pewny że i ty przybyłeś oddać mi cześć.

LWÓW. To się pan mylisz. -- Oni pewni do mni jadą i zapoźniwszy cug lwowski zostali przeszkodzeni, więc po takim schieberze musieli tu zostać.

KRAKÓW (*z lekceważeniem*). A pocóżby oni do wasana jechali.

LWÓW. Bo ja jestem głowa kraju koronnego, stolica Galicyi i Lodomeryi.

KRAKÓW. Hm, hm.

LWÓW. Bo u mnie ognisko życia całego kraju, u mnie rząd, u mnie sejm.

KRAKÓW (z *pogardą*). Galicyjski.

LWÓW. U mnie jest rada szkolna.

KRAKÓW. Od siedmiu boleści.

LWÓW. A kopiec unii? Co...!

KRAKÓW. Chciałeś jej wysypać mogiłę i pogrzebać ją w niej, ale i tego nie potrafiłeś... niedokończysz go nigdy, bo ty wszystko zaczynasz z hałasem, ale niczego nie umiesz skończyć.

LWÓW. A masz ty towarzystwo demokratyczne?

KRAKÓW. U mnie ile szynków tyle towarzystw demokratycznych. Zresztą co im ty pokażesz.

LWÓW. A ja ciekaw jestem co ty im pokażesz?

KRAKÓW. Co, ja ci zaraz powiem.

SPIEW na nutę „Wezmę ja kontusz.“

Głodny fanfaronie, czołem mej koronie

Wsadź na oczy szkło,

U mnie sukiennice, odwieczne ulice } bis
A u ciebie co? }

Śliczna mi figura od świętego Jura,

Wszyscy z ciebie drwią.

U mnie smocza jama i floryańska brama

A u ciebie co.

Dzielność twa udana, nie zdury Iwana

Junakieryą swą,

U mnie Kurza stopa i wież starych kopa,

A u ciebie co?

U mnie wspomnień siła: Rękawka, Mogiła,

A u ciebie co?

A więc nie drwij chłopie, bo cię berłem skropię,

Za zuchwałość twą!

A maszli towarzystwo dobroczynności i bank pobożny?
Masz ty Światowida i Archeologów?

LWÓW. Co mnie po tych twoich starych rupiecicach, nudny jesteś jak ta pieśń pogrzebowa, którą mie raczysz. Chciałeś wyszczególnić się wyścigami konnemi, ale kiepsko zrobiłeś egzamin, kompletne fiasko, majówki lepiej ci się udają.

KRAKÓW (*trzęsąc się od gniewu*). Nędzna, prowincjonalna miescino!

LWÓW. Masz też z czem popisywać się, czy to już wszystkie twoje osobliwości?

KRAKÓW. Ty śmiesz się natrzasać z mojej tradycyjnej pobożności. Jak śmiesz ty przybłądo, kosmopolito. Czy ty wiesz kto ja jestem?

LWÓW. Stary obdarty dziad, zbankrutowany szlachcic i kwita.

KRAKÓW (*nieposiadając się z gniewu*). A ty pokurcz, pół psa pół kozy; pół Niemca pół Żyda. Od głowy do pasa, fireyk i szwaregelber, a od pasa do nóg demagog, parweniusz, który sroce z pod ogona wyleciał.

LWÓW. Ejże strzeż się klecho! nie rób mi złej krwi! bom gotów moją młodość na twoich plecach spróbować, a putemu szkoda ręki, bo ciebie i tak już djabelnie czuć trupem.

KRAKÓW (*w pasy*). Ach ty wiedeński perukarzu, ciebie czuć pokostem nowych herbów — ty lalko z gablotki wiedeńskiej... ty... ty.

LWÓW. Patrzcie, jak go w oczy kole moja świeżość i elegancya... że sam obdartus i dziadyga. Widzisz jak to dobrze być pięknie wychowanym i mieć rodziców, którzy się o to starają.

A R Y A.

Piękna Galatea N. 2.

Ach dla Wiednia papuńci,
I Galicyi mamuńci,
Miłość serce me rozpiera żem tak dzielny chwata,
Bo też Wiedeń papuńcia,
I Galicya mamuńcia,
Chowali mię na sztucera prawie od stu lat.

Od Grodeckich bram,
 Po Łyczaków sam.
 Biję, piję, krzyczę, — baję, łaję, ćwiczę,
 Bom też w Galilei najgorętszy duch!
 Taki jak ja zuch,
 Baję, łaję, ćwiczę, żyję, biję, krzyczy,
 Wszędzie wznieca ruch.
 Nawet w sejmie panem ja,
 Pan marszałek respekt ma,
 A gdy czasem „Czas“ mię kpa,
 Wnet mu Jancio po łbie da.
 Wy z waszym Krakowem
 Padnijcie przed Lwowem,
 Bo sam Wiedeń Lemberg zna.
 Bo kto raz się do mnie uda
 Widzi same cuda! cuda! cuda! cuda! cuda?
 Ach dla Wiednia papuńci,
 I Galicyi mamuńci.
 Miłość serce me rozpięra, żem tak dzielny chwata
 Bo też Wiedeń papuńcia.
 I Galicya mamuńcia,
 Chowali mię na sztucera, prawie od stu lat.

(Po śpiewie).

Bywaj zdrów i pisz do mnie na Berdyczów.

KRAKÓW (*łapie go za kurtę*). Ja cię nie puszcę! ty musisz tu zostać i być świadkiem — moich tryumfów — pękać ze złości jak mi będzie Korona i Litwa hołdy składała.

LWÓW *nucąc walca i walcując wymyka się przed Krakowem, który goni go z trudnością, a nie mogąc dogonić rzuca za nim berłem, a gdy Lwów odbiegł za scenę wraca i sapie*).

KRAKÓW. Och! Uf! przeklęty drab! (*podnosi berło*) zirytowałem się... ale poczekaj zanim goście moi przyjadą, pójdę do Panny Maryi i wysłucham mszy świętej na tę intencję, żeby cię djabli wzięli.

(Kortyna spada)

KONIEC INTERMEZZA.

ODDZIAŁ I.

Teatr przedstawia Rynek krakowski, środkiem głąb zajmują odrapane sukiennice, których każdy narożnik popodpierany belkami

SCENA 1.

TWARDOWSKI, WARSZAWIAK, LITWIN, WOŁYNIAK.

TWARDOWSKI (*wychodzi z pod ziemi i mówi w otwór*).
Wyłaźcież waszmoście prędzej — Jesteśmy na miejscu! (*tamci trzej wychodzą za nim mając w ręku torby podróżne, na szyjach pledy*).

WARSZAWIAK (*oddychając*). Uf!

WOŁYNIAK (*podobnież*). Och!

LITWIN (*w połowie jeszcze stojący w otworze ogląda się na wszystkie strony*). A gdzieżto jesteśmy? co to za miasto? jakie stare domy? Zmiłuj się powiedz, bo umrę z ciekawości.

TWARDOWSKI. Przetrzyjże Aśc oczy i patrz lepiej — czy nie poznałeś kaźmierzowskiego gmachu, zygmontowskiej struktury?

LITWIN (*pokazując palcem na sukiennice*). To?.. dali-bóg nie mogę poznać, widzę tylko, że gmach kaducznie odrapany.

TWARDOWSKI. Toż Sukiennice!

WARSZAWIAK. WOŁYNIAK, LITWIN (*w zachwyce-niu*). Sukiennice!

WARSZAWIAK (*oddychając*). Uf, jak się tutaj swobodnie oddycha!

WOŁYNIAK. Jak rozkosznie czuć dym węglany, znać że miasto przemysłowe, zdaje mi się, żem w Anglii.

LITWIN (*klęka i całuje ziemię*). Witaj święte miasto! stara nasza stolico, grodzie chwały, grobowcu królów naszych (*płacze*). O jak szczęśliw jestem — nie żalby choć i skonać w tej chwili.

TWARDOWSKI. Porzuć waszmość te sentymenta, bo to tutaj nie w modzie, gdyby cię kto zobaczył gotówby wyśmiać na samym wstępie. Wybaczcie asaństwo, że was na chwilę opuścić muszę, a starajcie się pomieścić w zajazdach, dlatego nawet zaprowidowałem waszmościów w te rekwizyta wojażerskie, żeby poznali, że mają ten splendor przyjmować w swoim grodzie cudzoziemców.

WSZYSCY TRZEJ (*zadziwieni*). Cudzoziemców?!

TWARDOWSKI. A ma się rozumieć, że cudzoziemców, bo kto się nie urodził i nieochrzcił w parafii Panny Maryi, tego tu uważają jako zagranicznego. Ad revidendum.

LITWIN (*zatrzymując go*) Zmiłuj się dobrodzieju i wytłumacz nam którądy tutaj dostaliśmy się.

TWARDOWSKI. Przez piwnice podkrzysztoforskie, to jest moja krakowska rezydencya — Valeté (*odchodzi*).

SCENA 2.

P O Z O S T A L I.

WARSZAWIAK. Śliczna historia, przyprowadził nas, a sam czmychnął i puścił nas w trąbę.

LITWIN. Zniknął jak kamfora — cóż my teraz poczyniemy.

WOŁYNIAK. Trzeba dobić się do jakiego hotelu. Tutaj dopiero poznacie co to komfort? bo tu już Europa-cywilizacya - zachód.

LITWIN (*oglądając się*). Kraków! kochany Kraków, co za szczęście! Gdyby nawet nie powiedział mi poznałbym że to Kraków, jak tu pięknie, jak poważnie — w powietrzu czuć świętą, starą Polskę. Jak pomyślę że tędy może nasz Jagiełło jechał po Jadwigę, to mi krew uderza do głowy. I ja tu jestem? ja niegodny — Bożeż mój, jakże mam Tobie podziękować! Wiecie co, nie traćmy czasu — pójdźmy na Wawel.

Na Wawel! na Wawel Krakowiaczku żwawy
Podumaj — potęsknij nad pomnikiem sławy.

WARSZAWIAK. Ależ na miłość Boską, przecież trzeba umyć się, przebrać, ogarnąć. Co ludzie powiedzą?

LITWIN. Elegancik z marymonckiej mąki, co mnie ludzie obchodzą, abym tylko prędzej ucałował grób Kazimierza Wielkiego, Łokietka, Jagiełły, Zygmuntów, Poniatowskiego, Kościuszki, och Kościuszki! Boże ty mój (*ociera oczy*) ja tu zwaruję z radości!

WARSZAWIAK. Litwinie nie bądź w gorącej wodzie kąpany i mnie serce bije, ależ przyzwoitość. Wolałbym i Krakowa nie widzieć niż przedstawić się rodakom w takim ubiorze. U nas w Warszawie...

LITWIN. No to chodźmyż do austeryi, tylko którą?

WOŁYNIAK. Droga na końcu języka — spytamy ludzi.

LITWIN (*ogląda się*). Kiedyż bo żywej duszy nie widać?

WOŁYNIAK (*podobnież*). Uważacie, że nas tylko trzech na całym Rynku.

WARSZAWIAK (*toż samo*). Prawda, to dziwna rzecz — musi być jeszcze bardzo rano.

WOŁYNIAK. Słońce wysoko, gdzieindziej o tej porze ludzie już chodzą, ale tu Europa, długo w noc po pracy bawią się, a za to późno wstają.

WARSZAWIAK. U nas w Warszawie także w nocy się bawią, a przecież zrana o tym czasie na ulicach tłok, że przecisnąć się trudno.

LITWIN. Daj pokój Warszawie, bo jak zaczniesz o niej gadać to i nieskończysz... ale patrzcie tam z ulicy wybiegł pies to niezawodnie i jego pan pokaże się, pójdę naprzeciwko i dowiem się (*wychodzi na prawo*).

WOŁYNIAK. Poszedł na prawo, ja pójdę na lewo, a ty prosto, to przecież kogo spotkamy (*wychodzą*).

SCENA 3.

POZNAŃCZYK (*wychodzi z przeciwnej kulisy po podróznemu*).

POZNAŃCZYK. Szczególne miasto, idę od samego Banhofu i nikogo nie widać. Ady przecie w Poznaniu trafiłbym już

dziesięciu Niemców i dwudziestu Żydów, a przynajmniej jednego Polaka, a tu nawet nie ma trągera, coby wziął rajzetaszę i zaprowadził do hotelu (*spostrzegając wracającego Litwina*). Ha no przecież jakiś człowiek.

LITWIN (*wracając ogląda się*). Co za szczęśliwy kraj! Jaka wolność, toż nawet pies nie ma pana — ot, siedł sobie samopas.

POZNAŃCZYK. Czy mogę pana zapytać się, którą drogą do hotelu?

LITWIN. Takż chciałem zapytać, bo nie jestem tu-tejszy.

POZNAŃCZYK. Ja jestem z Księstwa, z samego Poznania.

LITWIN. A ja z Li... (*spostrzegając się*). Z Lipska z kąpiel wracając.

WARSZAWIAK (*wraca*). Żywego ducha... dwie ulice obiegłem.

WOŁYNIAK (*z drugiej strony*). Nikogo nie widać (*spostrzegając Poznańczyka, kłania się*). Ale może ten pan.

LITWIN. Ten pan takż przyjezdny.

POZNAŃCZYK (*kłaniając się*). Z Księstwa — z samego Poznania, a panowie.

WARSZAWIAK. Co za szczęście poznać rodaka z kresów Rzeczypospolitej — ja panie jestem z Warszawy (*rzuca mu się na szyję*).

POZNAŃCZYK (*chłodno ściska mu rękę*). Bardzo mi przyjemnie.

WOŁYNIAK. Mój Boże jak miło spotkać się razem ze wszystkich części dawnej Polski w jej starej stolicy. Bo to pan dobrodziej z Poznania, z gniazda Lechitów, Piastów. Ja z Wołynia, ten z Warszawy, a ten z Li...

LITWIN (*trącając go i przerywając*) z Lipska... z kąpiel wracając (*zagadując*). Ale co to znaczy, że ani żywej duszy na ulicy.

POZNAŃCZYK. Pewnie muszą być w kościołach, bo to miasto bardzo pobożne, najczystszy duch katolicki.

LITWIN. Wszelako wszyscy nie mogą być na nabożeństwie.

WARSZAWIAK. Przecież na Rynku myć i ubierać się nie będziemy. U nas w Warszawie...

SCENA 4.

DAWNI i PAUPER.

PAUPER (*wbiega podskakując*). Dobrodzieju! dobrodzieju! cencika, na szewski placek.

WOŁYNIAK. Którędy do hotelu?

PAUPER. Da dobrodziej? co? dobrodziej taki śliczny!

WOŁYNIAK. Spryt mu z oczów patrzy, nie darmo Krakowiak.

WARSZAWIAK. U nas w Warszawie uliczniki jeszcze sprytniejsze.

PAUPER. Dobrodzieju — okrutnie jeść się chce.... cencika!

WARSZAWIAK. Którędy do hotelu?

PAUPER. A dostanę?

POZNAŃCZYK. Dostaniesz, dostaniesz tylko pokaż drogę.

PAUPER. A do którego dobrodzieju, do Saskiego? czy do Wiktoryi?

WARSZAWIAK. Do Wiktoryi, bo i w Warszawie jest Wiktorya i podobno Warszawiak trzyma, to musi być porządny.

PAUPER. Tam ślicznie dobrodzieju — ogromne karciały w oknach i śwajcar prosto z igły, a wszystko po francuzku.

WOŁYNIAK. Bawi mię ten mały gaduła — a inne hotele są?

PAUPER. O są, jest Saski, jest Drezdeński, jest pod Różą co się teraz przechcił na Ruski, bo chce żeby Moskale z rublami tam zajeżdżali — jest Warszawski co się przechcił na Sobieskiego i Krakowski z łazienek przerobiony i Czarny Orzeł, a od 63go roku, to mu na imię Narodowy.

LITWIN. (*zachwycony*). Co za nazwiska, Biały Orzeł, Sobieski, Narodowy... Co tu wybrać? prowadź mię duszeńko pod Białego Orła.

WOŁYNIAK. A mnie do Narodowego.

POZNAŃCZYK. W Saskim podobno najlepiej jeść dają... to do Saskiego.

PAUPER. A cencik dobrodzieju, bo jestem bardzo głodny.

LITWIN. Masz dziesięciorkę.

WOŁYNIAK. A odemnie pół rubla,

PAUPER. Niech żyją dobrodzieje! Vivat! (*idzie przodem skacząc, za nim inni*).

SCENA 5.

Z przeciwnej strony wchodzą: Twardowski przebrany za Wszędobylskiego, Wicherski, Trzyprztycki (redaktorowie).

WICHERSKI. Ale czy tylko pewnym jesteś kochany Wszędobylski?

TWARDOWSKI. Słowo honoru i uczciwości widziałem ich, gadałem z nimi przed kwadranssem, ot tu!

TRZYPRZTYCKI. Po jednym delegacie z każdej prowincyi?

TWARDOWSKI. Jeden z Warszawy, drugi z Wilna, trzeci z Poznania, czwarty reprezentant Podola, Wołynia i Ukrainy w jednej osobie.

WICHERSKI. I przyjechali w celu.

TWARDOWSKI. Zawiązania stosunkow, poznania ludzi.

TRZYPRZTYCKI. Już widzę, że ich „Czas“ w swoje pazury chwyci.

TWARDOWSKI. I pokaże wszystko przez okulary reakcyi, bigoteryi i Jezuityzmu... jeżeli dacie się ubiedz.

WICHERSKI. My ubiedz? a czy my to ciury, niedołęgi tacy jak oni. Trzeba to podnieść do znaczenia wielkiego politycznego faktu.

TRZYPRZTYCKI. I wziąć inicjatywę... Leceć... do... albo nie, pędź Wicherku do redakcyi, napisz artykuł wstępny, jak to wiesz od wielkiego dzwonu, niech złożą na cycero, na grube interlinie, a ja pędzę agitować.

TWARDOWSKI. Cóż pan zaagitujesz?

TRZYPRZTYCKI. Naprzód przyjęcie w naszej redakcyi. Potem wielki obiad w Postępie — po obiedzie podwieczorek składkowy w Strzeleckim ogrodzie, dziś banda gra, to muzykę będziemy mieć darmo, o zmroku prelekeya w sali ratuszowej na dochód oświaty ludowej — wieczorem fakielzug... gdyby chciało towarzystwo muzyczne.

WICHERSKI. Dla Boga, czyś oszalał, to reaki, klerykały. Ot straż ogniowa zrobi na nich ogromne wrażenie.

TRZYPRZTYCKI. Ach jakiż ze mnie osioł! na śmierć zapomniałem! Dymaj Wicherku do redakcyi i smaruj na dwie szpalty. Ja pędzę do straży, potem do Wiorka generalnego spikera, żeby palnął bombastyczną mówkę i olśnił fajerwerkiem naszych delegatów — „Czas“ wścieknie się ze złości, a „Przegląd“ zdechnie z oburzenia (*wylatują*).

SCENA 6.

TWARDOWSKI sam, potem KOGUCIK.

TWARDOWSKI. Tandem tedy poruszyłem miasteczko; przypatrzą się mosterdzieju temu rajowi galilejskiemu w całym splendorze (*sposstrzega*). Ha otóż Kogucik, współpracownik z przeciwnego obozu (*idąc naprzeciw niemu*). Kochanemu re-daktorowi.

KOGUCIK (*protekcjonalnie*). Witam panie Wszędobylski, a cóż słyszałeś? przyjechali.

TWARDOWSKI. Jakież stanowisko zajmie wasz dziennik? jakże ich przyjmiecie?

KOGUCIK. Stanowisko jak zawsze pełne godności; poważne i głęboko polityczne. Żadnych demonstracyj ani manifestacyi, bo nie temi ekstrawagancyjami egzorbitacyjnymi, konta-

stuje się jedność sprawy. Jeżeli, o czem nie wątpię, złożą wizytę redakcyi najpierwszego polskiego dziennika, przyjmiemy ich z tradycyjną gościnnością, ale jako ludzi prywatnych, aby nam nikt nie mógł imputować konspiracyjno-destruktywnych tendencyj.

TWARDOWSKI. A tymczasem „Kraj“ schwyci ich w swe pazury i przy pomocy Postępu nada całej rzeczy charakter manifestacyjny.

KOGUCIK. Poważniejsza i myśląca część ludności będzie zawsze z nami.

TWARDOWSKI. Zobaczymy. Straciecie resztę miru i popularności.

KOGUCIK. O popularność i kredyt ulicy nie dbamy, w komplancye z ignorantami, radykałami i liberałami nie wchodzimy, taką kollegialnie w całym redakcyjnym komplecie zakonkludowaliśmy raz na zawsze decyzyę.

SCENA 7.

PREZES KATO. (*przechodzi w poprzek sceny udając, że ich nie widzi*).

TWARDOWSKI (*zastępując mu*). Dzień dobry prezeso-wi, a co tak zamyślony: obowiązki, praca, czynności urzędu?

PREZES KATO. Przepraszam.... nie spostrzegłem, bo to człowiek ma tyle na głowie.

TWARDOWSKI. A cóż delegaci — słyszał prezes?

PREZES KATO (*z niechęcią*). Ach! przyznam się panom, że mi się to nie podoba... poco ten przyjazd... te obchody... te awantury... Moskali nam chcą sprowadzić! poco to? do czego!?

KOGUCIK (*cicho do Twardowskiego*). A widzisz panie Wszędobylski, prezes manifestacye prowokacyjne kondemnuje.

PREZES KATO. Ten półgłówek Trzyprztycki, wpadł do mnie z subskrypcyą na jakiś obiad i chciał żebym wniósł toast.

TWARDOWSKI. I prezes odmówiłeś?

PREZES KATO. Och zmyłem mu głowę porządnie.... Obiad... no odmówić trudno... kiedy już przyjechali to niechże zobaczą co jest lepszego w mieście, nie samą redakcyę „Kraju“ i Postęp.

TWARDOWSKI (*cicho do Kogucika*). A widzisz redaktorku; prezes manifestacye prowokacyjne toleruje.

KOGUCIK (*z oburzeniem*). Jaktó prezes podpisałę składkę i toast przyrzekłę?

PREZES KATO. Ha cóż miałem robić? prosili, zaklinali.

KOGUCIK. Ależ to profanacya, kolosalna dygresya od kardynałnych pryncypiów, dać się tak spropagować do takiej egzorbitancyi.

PREZES KATO. I tak nas oskarżają, że jesteśmy niegościnni dla przybywających do naszego grodu współziomków — musiałem... ale między nami mówiąc, wcale mi się to niepodobna... powiem tylko mowę.

TWARDOWSKI. A od reszty umywasz ręce.

PREZES KATO. Oczywiście!

TWARDOWSKI. Prawdziwy Kato! si fractus illabatur! Czyś już bierzmowany?

PREZES KATO. Nie, a dlaczego?

TWARDOWSKI. Bo jak się będziesz bierzmować, to weź sobie na drugie imię Piłat — gdyż pozwalasz, aby się to stało czego nie pochwalasz, a potem umywasz ręce... Ha oto i drugi prezes ubezpieczenia lasów od gradobicia, a rzek i stawów od pożarów — radca kolei zwierzyniecko-krowoderskiej.

SCENA 8.

DAWNI, PREZES NIEZŁOMSKI.

NIEZŁOMSKI. A to kara boska! Słyszeliście? delegaci!.. waryaty! poszaleli, w takiej chwili kiedy najmniejszy brak taktu może nam tyle zaszkodzić w Wiedniu... Oto pociecha dla Neue Freie Presse.

TWARDOWSKI. Jednak prezes Kato subskrybował obiad i będzie wnosil toast.

NIEZŁOMSKI. Co? co? pan dałeś się wciągnąć!?

PREZES KATO. Ale... bo... to... ja... tylko... niby... tak.

KOGUCIK. Wszystko z insynuacji tego przekłętego bezwyznaniowca i kosmopolity Darwinisty „Kraju“! on to inaugurował te extremy.

NIEZŁOMSKI. Zginęliśmy, przepadła ugoda—będziemy mieli bezpośrednie wybory, zniesienie autonomii i stan obłączenia — a w następstwie komunę!...

SCENA 9.

DAWNI, Dr. O TEMPORA! PROF. O MORES! potem TRZY-PRZTYCKI, PAPUGOWICZ, i paru REKODZIELNIKÓW.

TWARDOWSKI (*zatrzymując profesorów*). A zkaż to tak spieszenie?

Dr. O TEMPORA! W sam czas panów spotykamy, pragniemy się naradzić.

O MORES! Zapytać co robić z tym fantem?

O TEMPORA! Ten waryat Wicherski na posiedzeniu rady miejskiej postawił naglący wniosek, żeby im udzielić honorowe obywatelstwo.

O MORES! Miasto nasze, wrzeszczał, zawsze przodowało na drodze poświęceń i patryotyzmu, a drugi waryat krzyknął jak przez tubę — Panowie zaklinam was w imieniu ojczyzny! uchwała zapadła — mój Boże szastać takim zaszczytem dla lada przybłądów.

O TEMPORA! Przekłete radykały!

NIEZŁOMSKI. Gotowi teraz cofnąć nam pożyczkę.

PREZES KATO. Odebrać akademię umiejętności.

TWARDOWSKI. A Moskale jak przyjdą?!

KOGUCIK. Śliczna expektatywa, sięgną do precedencji, zamkną dziennik, redakcyę wywiozą na Syberję, a na porządku dziennym represalia, proskrypcye i konfiskaty.

TWARDOWSKI. Więc panowie głosowaliście przeciw.

O TEMPORA! Ja wstrzymałem się od głosowania, ale mnie zmuszono.

O MORES! Ja wymknąłem się nieznacznie z sali, ale mnie z przedpokoju zwrócono. I musieliśmy głosować *za*.

O TEMPORA! (*z rozpaczą*). I musieliśmy głosować *za*.

NIEZŁOMSKI (*na stronie*). Koniec świata z takimi fu-jarami.

KOGUCIK. Trzeba było wnieść do protokołu solenne za-protestowanie przeciw tej monstrualnej nielegalności i opono-wać przeciwko presyi.

O TEMPORA! Łatwo to mówić, a gazeciarze osmarowa-liby nas jako zdrajców ojczyzny.

PREZES KATO. Panowie! proszę do mnie, spiszemy akt, że tylko pod presyą demagogów musieliśmy uledz — a tak w danym razie zabezpieczymy się na wszelki wypadek.

NIEZŁOMSKI. Przeciwny jestem wszelkim pokątnym protestom. Wystąpić jawnie przeciwko agitatorom — dajmy raz przykład odwagi cywilnej, której nie mieliśmy nigdy w sta-nowczych chwilach i co nas zawsze gubiło.

PREZES KATO. Ależ daj pokój szanowny prezesie, wy-stąpieniem jawnem ściągniemy na siebie niepopularność. a nie przeszkodziśmy demonstracyi — roztropność przedewszystkiem.

NIEZŁOMSKI. Niech was djabli porwą z taką waszą roztropnością.

KOGUCIK (*idąc za nimi*). Trzeba na jutro palnąć wstępny artykuł „wyrafinowana egzaltacya fikcyjnych inspira-cyi, progresywnie eksploatuje sentymentalizm nacyonalny, ani-hilując postulata delegacyjne“ (*głos niknie za kulisami*).

SCENA 10.

TWARDOWSKI, PAPUGOWICZ, TRZYPRZTYCKI, MAĆIŃSKI,
CIEŚLIKIEWICZ i kilku MIESZCZAN i RZEMIEŚLNIKÓW.

TRZYPRZTYCKI. *Śpiew na melodyę Oresta z Pięknej Heleny N. 2gi.*

Wiecie panowie
Że są w Krakowie

Delegowani z różnych ziem,
 Rzecz to nie mylna
 Z Poznania, Wilna
 Z Gdańska, Warszawy o tem wiem,
 Więc was co tchu
 Zwołałem tu,
 Aby ich przyjąć jak wypada.

PAPUGOWICZ. Ach co za honor — w takim dniu. Cóż
 robić trzeba? jakaż rada.

TRZYPRZTYCKI.

Trzeba aby „Czas“
 Nie ubiegł nas!

C H Ó R.

Trza aby „Czas“
 Nie ubiegł nas!

PAPUGOWICZ.

Bo ich wyprawić gotów precz,
 Więc złapać ich to nasza rzecz.
 Dzin la la
 Niech nas zna,
 Ten stary grat oj nie oćmi nas.
 Dzin la la
 Cha, cha, cha,
 Umrze ze złości na żóltaczkę „Czas.“

CHÓR (*powtarza*).

TRZYPRZTYCKI II.

A zatem śmieie,
 Obywatele.

Złożmy my pierwsi gościom cześć!
 By klerykały,
 Ich nie złapały,
 Dajmy im dużo pić i jeść.
 Nie stójcież tu,
 Bieźcie co tchu,
 Aby ich przyjąć jak wypada.

PAPUGOWICZ.

Ach! co za honor — w takim dniu
 Będzie koncert i biesiada.

TRZYPRZTYCKI.

Baczcie, by „Czas“
 Nie ubiegł nas!

C H Ó R.

Baczmy, by „Czas“
 Nie ubiegł nas!

PAPUGOWICZ.

Bo wiem, że nam ich sprzątnąć chce
 Nie dajmy się — trzymajmy się.

TRZYPRZTYCKI.

Dzin la la,
 Niech nas zna,
 Ten stary grat oj nie oćmi nas.
 Dzin la la
 Cha, cha, cha
 Umrze ze złości na żóltaczkę „Czas“!

TWARDOWSKI (*który stał na boku podczas śpiewu wchodzi między nich*). Upadam do nóżek — witam panów moich. Coś widzę macie ważnego na głowie. Cóż się stało?

TRZYPRZTYCKI. Czego pan udajesz! wszak wiesz dobrze, że mamy przyjmować delegatów.

MAĆIŃSKI. Tylko panie, ma się rozumieć, nie tych panie zdrajców, co to panie siedzą w Wiedniu w rajsracie, ale tych prawdziwych delegatów, co panie przyjechali tu z pod Moskali i Prusa, żeby się z nami poznać.

PAPUGOWICZ. A tu „Czas“ mospanku w zmwowie z arystokracją i Jezuitami mospanku, jakto nam dobrodziej (*wskazując na Trzyprztyckiego*) wytłomaczył — chcą ich mospanku sprzątnąć nam z przed nosa, bo się na ten przykład boi mospanku, żeby się rewolucya znowu nie zrobiła.

TRZYPRZTYCKI. A ja zrobiłem panów uważnymi, żeby im finfę puścić w nos i pokażemy, że demokracya górą, że ulica górą, bo oni was ulicą nazywają!

PAPUGOWICZ. A wiem, wiem... ho, ho, ja znam ich dobrze!

TRZYPRZTYCKI. Otóż niech poznają, że trzymamy się gotowi, że idziemy z olbrzymim postępem wieków wyłonionym przez demokracją.

PAPUGOWICZ. Ma się rozumieć.

TRZYPRZTYCKI. A że ten przeklęty „Czas“ jest przepaścią pomiędzy prawowitemi aspiracyami ludu, a doktryną sformułowaną przez Jezuitów.

MAĆIŃSKI. Oj ci Jezuici — jest ich pono na Wesołej aż piędziesiąci.

TRZYPRZTYCKI (*w uniesieniu*). Jestem wściekle rozgorączony, bo w jak najniedwuznaczniejszy sposób, przytem fenomenalnym zjawisku obesłania Krakowa posłanniczą misją delegatów, żadnego nie biorąc względu na nas, pociągają tylko na potrzeby swoje, chociaż nam, jako obywatelom, przysługuje prawo przyjmowania delegatów. Więc gdy w grze jest nasz honor postawiony, znając ofiarności ludzi pracy, zgromadziłem ich, aby obradować kwestyę przyjęcia delegatów i odszkodzić się za poniżenie, a wypośrodkować powitanie. Stawiam zatem wniosek, ażeby pan Papugowicz, jako dusza stowarzyszenia ludzi pracy, trzymał mowę powitalną.

PAPUGOWICZ. A i owszem i owszem mospanku, niby na ten przykład w jakim sensie?

TRZYPRZTYCKI. Powiedz pan, że udobrodziejstwowani obesłaniem współziomków, w chwili nie znajdowania się nigdy w więcej trudnem położeniu, tem bardziej pilnie przestrzegać nam należy łączności poszczególnych prowincyj.

PAPUGOWICZ. Tylko, że mospanku nie będę mógł spa-
miętać...

TWARDOWSKI (*do Trzyprztyckiego*). Pozwólno mi pan przemówić mniej gazeciarskim językiem. Otóż mości Papugowicz, powiedz im pan, że postęp jest duszą świata i jego prawem.

PAPUGOWICZ. Rozumiem, ma się rozumieć!

TWARDOWSKI. Że dość długo przywilej herbowy, a następnie przywilej kapitałowy nękał i ucięmięzał pracę...

PAPUGOWICZ. Wiem... wiem.

TWARDOWSKI. Że wprawdzie u nas kapitału nie ma, a pracy jeszcze mniej.

PAPUGOWICZ. Ma się rozumieć, że pracy jeszcze mniej, bo się czeladź zbuntowała i na nic rozpuściła.

MAĆIŃSKI. Zachciewa im się na ten przykład jakiejś gwiazdy i jakichciś panie odczytów, a o robocie ani dudy. Bez tych próżniaków rękodzielnik panie upada, a żydy pożytkują.

CIEŚLIKIEWICZ. Zabierają nam z przed nosa wszystkie antreprzyzy.

TWARDOWSKI. Ale chociaż nie mamy kapitałów i chęci do pracy, to powinniśmy mówić i postępować, tak jak demokratyczna Europa! precz z kapitałem.

PAPUGOWICZ. Naturalnie jak Europa.

TWARDOWSKI. Że inteligencya....

CIEŚLIKIEWICZ (*przerywając mu*). Ho! ho! tylko niechno pan nie wyjeżdża z inteligencyą, my tu inteligencyi nie potrzebujemy.

PAPUGOWICZ. Ma się rozumieć, że nie potrzebujemy.

MAĆIŃSKI. My jesteśmy panie ludzie pracy, to się obej-
dziemy przez adwokatów i profesorów, bo my panie opiekunów nie potrzebujemy. Mamy ich zawiele w radzie miejskiej więc też panie bez to miasto upada.

TRZYPRZTYCKI (*do siebie*). W samą porę przerwał mu, byłbym musiał dać dymisyę z mojego wpływu na tych cechmistrzów (*do Cieślikiewicza*). To zdrajca zaprzędany inteligencji (*do Mącińskiego*). Przeniewierzył wasze zaufanie.

CIEŚLIKIEWICZ (*do Twardowskiego*). My sobie damy rady i bez pana.

PAPUGOWICZ. Ma się rozumieć, że sobie damy rady.

MĄCIŃSKI. Widzieli ta pana ludzie, jakeś pan gębował za pożyczką.

TRZYPRZTYCKI (*do Mącińskiego*). Widziałem na własne oczy jak w banku hipotecznym zmieniał pieniądze. W tem jest coś.

MĄCIŃSKI (*do Twardowskiego*). Niech pan lepiej idzie do banku i tam doradza jak nas mają zaprzędawać, a nam panie, niech pan głowy nie zawraca. Pójdźmy ztąd — nie trzeba, żeby nas byle kto podsłuchał i kierował, a potem zdradził (*z przekąsem*). Upadam do nóg panie Wszędobyłski (*odchodzi*).

CIEŚLIKIEWICZ (*podobnież*). Upadam do nóg — szczęśliwego powodzenia u innych (*odchodzi*).

PAPUGOWICZ (*kłania się Twardowskiemu*). Ma się rozumieć, szczęśliwego powodzenia u innych (*odchodzi*).

SCENA 11.

TWARDOWSKI sam — później MALWINA i FULGENCYA.

TWARDOWSKI. Biedaki, kto chce to ich wodzi za nos, a przecież to poczciwe.. — Serca złote. — Cóż, kiedy zarozumiałości tęga dosis — a w głowie, Boże zmiłuj się.

MALWINA (*wystrojona impertynencko, kok ogromny, pince-nez, puf ogromny, wpada nagle z prawej strony*). Panie Wszędobyłski — czy to być może? Czy to prawda, że przyjechali?

FULGENCYA (*wązko i czarno ubrana, zasłonięta, kwefem*) Panie Wszędobyłski, czy to prawda, że przyjechali?

MALWINA (*cicho do Twardowskiego*). Podobno uciekli aż z Nerczyńska?

FULGENCYA (*podobnie*). Podobno ten przeklęty Wiktor Emanuel wypędził ich z Rzymu?

MALWINA (*jak wyżej*). Wszak to mają być młodzieuczne chłopcy.

FULGENCYA (*j. w.*). Podobno nie długo byli w nowicyacie?

MALWINA (*j. w.*). Ranni i kalecy?

FULGENCYA (*j. w.*). Słyszałam, że wychudli od postów i umartwień. Odpowiadajże pan?

MALWINA. Mówże pan prędzej.

TWARDOWSKI. Ależ dajcie mi odetchnąć moje miłe panie... Otóż wszystko co mi szeptacie do ucha jest wymysłem i bajką.

OBIE (*zdziwione*). To być nie może.

TWARDOWSKI. Ale zaręczam paniom, że to są tylko najzwyczajniejsi podróżni.

MALWINA. Tak się to mówi wobec świata, ale ja jestem pewną, że się w tym kryje coś (*ciągnie go na bok i mówi cicho*). Panowie zawsze udajecie, taicie przed nami — ale my wszystko wiemy. Daję panu słowo honoru, że nikomu nie powiem, tylko chcę wiedzieć dla niesienia im pomocy.

FULGENCYA. Powiedz pan otwarcie, wiem że są tacy, którym się ich przyjazd niepodoba, ale ja jestem szczerą kobietą, co w sercu to na języku wiem, że są osoby (*wskazuje na Malwinę*), które zamiast... no nie powiem kogo, wolałyby rewolucjonistów, komunistów, bo teraz jakiś liberalizm i bezwyznaniowość zawraca głowy nie tylko ludziom, ale panie odpuść i kobietom!

MALWINA (*żywo*). A cóż to, czyż kobieta nie jest człowiekiem?

FULGENCYA. Jest istotą niższą a mężowi wierną i podległą, jak mówi Pismo święte, ale nie jedna o tem zapomina.

MALWINA (*do Twardowskiego*). Przeklęta stara, widać zaraz, że nigdy męża nie miała.

FULGENCYA. Kraków przewrócił się do góry nogami. Prababki nasze słyęły w całym świecie w pobożności, a dzisiejszym damom w głowie tylko emancypacja, polityka, filozofia. Chociaż święty Paweł powiedział...

MALWINA (*przerrywając*). Święty Paweł powiedział: „Niewiasty wasze niech milczą w kościele“; a znam jedną, co tak głośno rezonowała u Bernardynów, że aż ją ksiądz musiał do porządku przywołać.

FULGENCYA (*na stronie*). Przekłeta kuryerka. (*głośno*) A ja znam taką, która zamiast domu pilnować, goni za konspiratorami i wtrąca się do polityki. Tę powinienby mąż do porządku przywołać, gdyby miał głowę na karku.

TWARDOWSKI. Ależ moje panie nie wszczynajcie sporów prywatnych, w chwili gdy chodzi o sprawy publiczne. (*Ciągnie na bok Fulgencję.*) Nie narażaj się pani. Owi mniemani zakonnicy są poprostu zbiegi z Brestu, członkowie komuny paryskiej, ateusze, bezwyznaniowcy!

FULGENCYA (*przerażona*). O, najśłodsze Imię!...

TWARDOWSKI (*odprowadzwszy na bok Malwinę*). Czy przez swoją porywczosć chcesz ich pani zgubić... wiesz pani, ale nie wszystko; mniemani Syberyjczycy są członkami byłego...

MALWINA (*cicho, spląsnąwszy rękami*). Rządu narodowego!

TWARDOWSKI. Ja tego nie powiedziałem, ale...

MALWINA (*cicho do niego*). Bądź pan spokojny, będę milczała jak głaz!

FULGENCYA. Po co oni tu przyjechali?

MALWINA. I cóż to panią obchodzić może? Co pani do tego?

FULGENCYA (*prędko*). Jak to mnie nie ma obchodzić, że przyjechało dwudziestu bezbożników, bluźnierców, mazzinistów, ateuszów, konspiratorów, żeby w naszym mieście utworzyć komunę?! spać kościoły, zburzyć klasztory, wymordować zakony?

MALWINA (*z uniesieniem*). Jak pani śmiesz znieważać braci naszych, jak pani śmiesz ubliżać obosiecznym językiem byłym członkom rządu nar..... (*na stronie*) Aj, aj, o małym się nie wygadała.

FULGENCYA. O Jezu! co ja słyszę... rządu narodowego... Święci męczennicy japońscy ratujcie nas!

MALWINA. To pani teraz nastajesz na więźniów i emigrantów, a przecież choć dzieckiem byłam w 48 roku, ale

pamiętam, żeś będąc już dojrzałą pannicą, kwiaty rzucałaś im pod nogi i latałaś za emigrantami jak lokomotywa — boś była młoda.

FULGENCYA (z uniesieniem). I dziś jestem młoda, bo nie styrałam serca mego w konspiracyjach z bezbożnikami bez czci i wiary.

MALWINA. U tych nabożnisiów języki ostre jak miecz obosieczny. Złość, potwarz, wsteczność, nienawiść sprawy narodowej, a nie miłości.

FULGENCYA (z ucinkiem). Lepiej zamało, jak zawiele.

MALWINA. Co tam będę z panią toczyła spory, nie przegadam pani (do Twardowskiego). Oto lepiej trzeba pomyśleć, gdzie ich umieścić bezpiecznie.

FULGENCYA. Najbezpieczniej byłoby w kryminale.

MALWINA. Leć pani zdenuncyuj ich. Wydaj w ręce wroga na śmierć i męki, a gdy ich zamordują, pobiegnij do Jezuitów i pochwal się przed nimi.

FULGENCYA. A pani leć z nimi palić klasztory i mordować zakonników, a gdy się nażłopią krwi świętej, pojedź do Wiktora Emanuela, żeby ci dał order!

MALWINA.

Śpiew. Nr. 15. Piękna Helena.

Taka, co broi
W młodości swojej,
Środ starszych lat
Chce dużyć świat,
Więc wciąż w kościele
Pacierze miele,
Na wszystkich mszach
Po całych dniach.
Lecz mimo tego
Czerni bliźniego,
I gubi go
Potwarzą swą,
Plotkami żyć,
Każdego lżyć!
Paplać jak szpak!
Dewotki znak!

II.

Pobożna siostra,
 Surowa, ostra,
 Spójrzyc jej w twarz
 Ani się waż.
 Krzyżem upada,
 Codzień spowiada,
 Na cudzy grzech
 Wzdycha jak miech.
 Lecz mimo tego
 Czerni bliźniego,
 I gubi go
 Potwarzą swą.
 Plotkami żyć!
 Każdego lżyć!
 Paplać jak szpak,
 Dewotki znak.

(*Po śpiewie odbiega.*)

FULGENCYA (*ze wzgardą*). Nie ma z nią co gadać.
 (*pluje*) Tfy! Żegnam, panie Wszędobylski. (*Obiedwie odwracają
 się tyłem do siebie i wybiegają*).

TWARDOWSKI. Ra ta ta ta ta — ra ta ta ta ta —
 kubek w kubek jak moja nieboszczka. Poruszyłem miasteczko;
 no jeśli moi goście nie będą kontenci, to już chyba nie ma
 wdzięczności na świecie. (*Wychodzi*).

SCENA 12.

WARSZAWIAK i dwóch ŻYDÓW z *prawej strony*.

1. ŻYD. Niech jaśnie pan u mnie zmieni — tamten je-
 gomości oszuka. Ja dam sto czterdzieści sześć i *ein fertel*.
 (*Szarpie go za rękę*).

2. ŻYD. Ja dam *mit a drittel*. (*Szarpie go za drugą
 rękę*).

WARSZAWIAK. (*Wyrrywając się*). Ależ dajcie mi pokój u milion djabłów — nic nie zmieniam nic!

1. ŻYD. Jakto nic — Jaśnie pan mieszka u Wiktoryi i nic nie zmienia — Tam zawsze samich hrabiów stawają i wszystkie mają zmienić. (*Wchodzi Wołyniak i dwóch żydów z lewej strony*).

WOŁYNIAK. (*Opędzając się*). Idźcież sobie do licha, a to skaranie boskie przez całe miasto wloką się za mną, ani odetchnąć.

3 ŻYD. Ja dam sto czterdzieści pięć.

4 ŻYD. *Mit a halb.*

DWAJ PIERWSI ŻYDZI. (*Odstępują Warszawiaka i biegną do Wołyniaka szarpią go wołając:*) Ja dam sto czterdzieści sześć.

4. ŻYD. *Mit a fertel.*

3. ŻYD. Sto czterdzieści siedm.

LITWIN (*Wchodzi za nim żyd i żydówka*) T-aż odczep się odemnie, mówiłem że nic nie zmieniam, ani kupuję.

ŻYDÓWKA. Tilkie ten krakowski los — świerże pożyczkie — można wgrać 30 tysięcy reńskich — W tamte czągnienie, to bank hipoteczne wgrał wszistkich premiów — Niech tilkie jegomość popatrzi.

LITWIN. (*Ogląda los*). A dalibóg, Wawel, Sukiennice i do tego krakowska pożyczka — Toż chiba u was cenzury nie ma, że takie losy robić wolno. A co kosztuje? — Mów! to kupię jeden.

ŻYDÓWKA Trzedzieści pięć reńskich.

LITWIN Kłamiesz, bo tu napisane dwadzieścia.

ŻYDÓWKA. Ny przecie i bank musi troche zarobić — i ja ... ny oddam za 34 i pół.

INNI ŻYDZI. (*Otaczają Litwina i dobywszy losów pchają się jedni przez drugich i podsuwają przed oczy krzyżąc razem*) Ja dam za 34 — 33 — 32 — (*jeden drugiego odpycha i szarpią Litwina, który nie może się opędzić*) 31 — 30!...

LITWIN. Chryste Panie! rozszarpią mię! ratuj kto żyw!
WARSZAWIAK i WOŁYNIAK. Coż tu u milion djabłów — co to rozbój! (*Rozpędzają ich, żydzi uciekają*).

SCENA 13.

LITWIN, POZNAŃCZYK, WARSZAWIAK, WOŁYNIAK.

LITWIN. A coż to za szarańcza, to jeszcze gorzej jak u nas w Wilnie na szklanej ulicy — Ledwie wyrwałem się z jednego piekła — ot i drugie.

WOŁYNIAK. Z jakiego piekła?

LITWIN. Ot danoż mnie pod tym białym orłem, wsadzono gdzieś na tylny dziedziniec do maleńkiej izbetki, gdzie mało mnie muchi nie zagryzły — myślałem że pod białym orłem, to powinna być taka austerya że dusza rozraduje się — ale jakoś....

WOŁYNIAK. I ja nie lepiej wyszedłem na narodowym.

WARSZAWIAK. Moja Wiktorya ujdzie — ale daleko jej do warszawskiej.

POZNAŃCZYK. W Saskim choć nie tak jak u Kurnatowskiego, jeść niby nie źle, ale gdzie im do Bazaru.

LITWIN. Idąc tutaj, patrzę aż napisano barszcz polski i flaki narodowe — myślę sobie trzeba pokosztować — Aj dobrodzieju niezjadłem zapłaciwszy — wodę im nosić za naszą kuchnię — ot łapią na patryotyczne tytuły, a jak drogo biorą!

WARSZAWIAK. Wielkie godła do małych rzeczy.

LITWIN. No panowie my tu gadu gadu, a jeszcze Wawelu nie widzieli, chodźmy na Wawel.

INNI TRZEJ. Zgoda chodźmy! chodźmy!

SCENA 14.

Dawni i Redakcyjja Dziennika liberalnego, WICHERSKI, TRZYPRZTYCKI, KLIN, GMIN, CZYN i TWARDOWSKI.

TWARDOWSKI. (*Do podróżnych*) Wstrzymajcie się Oto przedstawiam Wam pracowników na niwie dzinnikarstwa krajowego — Wyznawców i Szermierzy zasad postępowych —

ludzie gotowi wszystko poświęcić dla idei — jednym słowem redaktorowie najpatriotyczniejszego i najliberalniejszego dziennika.

LITWIN. A kto to taki — kto aspana rodzi?

TWARDOWSKI. (*Cicho do nich*). Cóż u kroćset nie poznaliście mię aszmościowie — To ja wasz konduktor, przedzierzgnięty mocą czarów w nowiniarza krakowskiego. Nadstawcież uszu a starajcie się sens schwytać.

WICHERSKI. Panowie! Rodacy! bracia! Witam was w tym grodzie, gdzie blask jutrzeźki demokratycznej, acz niestety do szlacheckiej kasty ograniczony, zajaśniał dla Europy pograżonej w pętach średniowiecznej ciemnoty, tudzież despotyzmu monarchicznego i papistycznego; w grodzie, który niegdys łączył wszystkie części naszej ojeźyny. Dziś jemu znowu danem jest być świadkiem i miejscem symbolicznego tej unifikacyi wyrazu — jej stwierdzeniem i wróżbą. Tak jest panowie nasze przyjście w styczność z wami, jest faktem politycznym niezmiernie wielkiej doniosłości jako fakt, a więcej jeszcze jako symbol tej jedności którą nie rozerwie żadna przemoc.

WOŁYNIAK. (*Rozczulony*). Żadna! żadna! (*Do swoich*) Jak on pięknie mówi, aż mi się na płacz zbiera.

LITWIN. (*Ciągnąc go za połę*). Wszelako zmiłuj się! ostrożnie, a nuż kto podsłucha i zadenuncjuje.

WICHERSKI. Wiem że połączenie się nasze jest w dalekiem polu; że są zewnętrzni nieprzyjaciele, a jeszcze gorsze pomiędzy nami wrogi odstępcy sprawy narodowej arystokraty, klerykały, jezuci, Stańczyki i ta niczem nienaprawna szlachta.

LITWIN. (*Z zadziwieniem*). Co? co? co?

TRZYPRZTYCKI. Ale nie wysadzają nas zdrajcy z równowagi — przyszłość jest naszą. Zjednoczona wolność Wszelch ludów, postęp i zniszczenie wszelkiego przywileju — Oto rozświt przed którym pierzechną ciemności — Oto sztandar naszego pochodu!

LITWIN. (*Do swoich*). Ależ mówi śmiało — że im tak wszystko pozwolone.

TRZYPRZTYCKI. Sztandarem tym panowie jest dziennik, którego jesteśmy przedstawicielami. On zogniskowuje w swej zawartości wszystkie ideje postępowe — a unicestwia



wszytko co gnije w błocie zastołości i wstecznicstwa krakowskiego. Nie chcę ja tu nikogo stawiać w stanie oskarżenia, choć mógłbym przeprowadzić iskrzące dowody, że zdradzieckie partye wszelkim kosztem starają się szkodzić sprawie ludowej, chociaż mam pełne prawo podciągnąć ich ostrej krytyce.

Ale dziś wydaję na pastwę pogardy naszych domowych wrogów i aby was zaci ziomkowie uchronić od zderzenia się z tą pleśnią porastającą odradzający się Kraków. My was witamy pierwsi zapraszając na bardzo pojedynczą ucztę, której myśl wyszła od naszego dziennika.

TWARDOWSKI. (*Do Wołyniaka*). Przemówże aś co na takie *dictum acerbum*.

WOŁYNIAK. Panowie! nie jestem ja wymowny, bo my nie mamy sposobności przemawiania publicznie, lecz choć nie wymownie, pragnę odpowiedzieć na wasze wymowne i pełne szczerości przemówienie, Otoż powiem krótko: szczęśliwy jestem że tu jestem i widzę was szczęśliwych i swobodnych i że mogę was uściskać. (*Uściski wzajemne*). Służymy panom (*Chcą odchodzić*).

SCENA 15.

DAWNI, PAPUGOWICZ, MAĆIŃSKI, CIEŚLIKIEWICZ
i DEPUTACYA RĘKODZIELNIKÓW.

TWARDOWSKI. (*Wstrzymując ich*). Za pozwoleniem. Oto druga deputacya zgromadzenia rękodzielników.

PAPUGOWICZ. Pozwólcie panowie ażebym w tym starym grodzie Piastów i Jagiellonów powitał was imieniem ludzi pracy — bo panowie! postęp jest duszą świata i jego prawem mospanku. Więc przywilej herbowy i kapitałowy od stworzenia świata nękał i uciemieżał pracę mospanku — Że wprawdzie u nas niema nie to jest kapitału niema, ma się rozumieć, a pracy jeszcze mniej.

CIEŚLIKIEWICZ. (*Trąca Papugowicza*). Na miłość boską, czyście owaryowali, bajecie to co wam ten zdrajca Wszędobyłski nagadał

PAPUGOWICZ. (*Stropiony*). Ma się rozumieć... mospanku, gdyż czeladź rozpuściła się i bawi się w jakieś Gwiazdy — a my ani adwokatów, ani profesorów z inteligencją niepotrzebujemy.

MAĆIŃSKI. (*Trąca go z drugiej strony*). Papugowicz! na rany boskie cóż wy gadacie!

PAPUGOWICZ. (*Otrząsa się*). Ej do milion djabłów, nie trącajcie mię, ani nie dogadujcie, bo ja przecie wiem co mam gadać. Co tam po tych wszystkich bałamuctwach; pal djable nowomodne wymysły. Oto powiem po starokrakowsku, jakto u nas za dawnych czasów bywało. Witamy was serdecznie w naszym mieście i prosimy jeżeli panowie niepogardzicie do naszego zgromadzenia na wieczere. Niech żyją rodacy! Wiwat!

RESZTA DEPUTACYI. Wiwat!

WARSZAWIA. Serdecznie dziękujemy — Niech żyją Krakowianie! Wiwat!

WSZYSCY. Wiwat!

WOŁYŃIAK. A więc chodźmy. (*Chcą iść*).

TWARDOWSKI. Za pozwoleniem. (*Zatrzymuje ich*).

SCENA 16.

DAWNI i KAPITAN POMPIERÓW (*na czele oddziału*).

KAPITAN. Pozwólcie ziomkowie ażeby was ta młodzież gorąca duchem, a już ujęta w żelazne karby karności wojskowej powitała was w tym starym grodzie Piastów i Jagiellonów. Otwiera ona wam ramiona, ramiona poczciwe. Nie są to papinki nowomodne, których praca zasadza się na bilardzie, kartach, włóczeniu się po linii AB i przesiadywaniu w kawiarniach podejrzanych. To rdzeń młodzieży który pragnąc okazać wam zręczność, zaprasza was na sztuczny pożar, który będzie miała zaszczyt rozniecić i ugasić.

LITWIN. (*n. s.*) Mój Boże! jakie chłopcy, jakie mun-

dury, aż oko rwie. (*głośno*). Taki chodźmy na ten pożar. (*Chcą iść*).

TWARDOWSKI. Za pozwoleniem. (*Zatrzymuje ich*).

SCENA 17.

DAWNI, KATO, O! TEMPORA, O! MORES, KOGUCIK.

TWARDOWSKI. Oto towarzystwo badań mikroskopijnych archeologiczno-historyczno przyrodzone.

KATO. Panowie! Niech Towarzystwo nasze nie będzie ostatniem w powitaniu was w starożytnym grodzie Piastów i Jagiellonów.

WARSZAWIAK. (*Do swoich*) Coś Piastowie i Jagiellony mają czkawkę.

KATO. Zajęte cichą naukową pracą, nienawykłe do głośnych manifestacyj, nie może czynnie uświetnić waszego między nami pobytu, przyjmijcie więc panowie skromne powitanie i raczcie zaszczycić obecnością swoją nadzwyczajne nasze posiedzenie, które się jutro na waszą cześć odbędzie.

WICHERSKI. (*Do Trzyprztyckiego*). Skutkowało! i ci gotowi już demonstrować!

KOGUCIK. (*Do Katona*). Pańska interlokucya zupełnie mię zdezilluzjonowała, zamiast stawiać opozycję brawurze opartej na fantastycznej egzaltacyi, entuzjazmujesz pan mołoch i podnosisz rezultat negatywny.

O TEMPORA! (*Do Litwina*). Posiedzenie będzie djabalnie nudne, archeologiczna rozprawa na mrzonkach oparta. Wypadało przecież dać coś z nauk przyrodzonych.

O MORES! (*Do Wołyniaka*). Chcieli was uraczyć rozprawą przyrodniczą o Haemoglobinie, to mi feta! w naszym odwiecznym krakusowym grodzie pleść takie koszalki. Otóż skreśliśmy łeb przyrodnikom, i będę wam czytał rozprawę dowodzącą, że Wanda nie pod Wawelem, ale na Grzegorzach na wprost rogatki rzuciła się w Wisłę.

TRZYPRZTYCKI. (*Ciągnąc Warszawiaka w jedną*

stronę). Nie przyjmujcie zaproszenia bo to reaki zapleśniałe, klerykały! Zdrajcy.

KOGUCIK. (*Do Warszawiaka z drugiej strony*). Nie komunikujcie się panowie z tą obsceną dziennikarstwa, to są indywidua nikczemnych antecedeny, elementa destrukcyi, propagatorowie nihilizmu. Zdrajcy.

MAĆIŃSKI. (*Do Poznańczyka wskazując Kogucika*). Niech pan ostrzeże kolegę żeby nie wierzył temu czasownikowi, bo to panie zdrajcy co nam wyciągają duszę bokiem. (*Na O moresa*). A to prefesory, intelligencya co nas chce za nos wodzić, też zdrajcy.

O MORES! Nie przyjmujcie zaproszenia rękodzielników, bo to wrogi legalności i ugody parlamentarnej — to są niebezpieczni rewolucyoniści — montaniardy, zarodek przyszłej komuny, zdrajcy.

O TEMPORA! (*Do Litwina*). Na miłość boską unikajcie straży ogniowej, bo to ferment rewolucyjny, waryaty, zdrajcy!

LITWIN. (*Do Twardowskiego*). Zmiłuj się, ja tu zwaryjuję — Jeden na drugim psy wiesz, wszyscy się nienawidzą i obgadują. Czyż to tak korzystają z wolności, ze swobody?

WARSZAWIAK. (*Do niego*). Wieża babilońska — Na miłość boską wyprowadź nas, bo mię rozpacz bierze.

WOŁYŃIAK. Jak Boga kocham, nie wytrzymam dłużej, wszyscy nawzajem tytułują drugich zdrajcami.

POZNAŃCZYK. Wracam do domu.

TWARDOWSKI. (*Do nich*). Cierpliwości — cierpliwości — nie miejcie im za złe — Oni wszyscy chcą szczęścia kraju, tylko każdy sobie wykoneypował formułkę i chce wszystkich na jej model wystrugać — Wiek cały składał się na to — trudno w paru latach odrobić. Systemik dobrodzieju, systemik.

CZTEREJ GOŚCIE. Ależ chodźmy już chodźmy! (*Chcą iść*).

TWARDOWSKI. (*Zatrzymując ich*). Za pozwoleniem — Oto Towarzystwo strzeleckie — a z drugiej muzyeczne.

SCENA 18.

Deputacya Towarzystwa Strzeleckiego i Muzycznego.

KRÓL KURKOWY. Pozwólcie panowie, ażeby odwieczne Towarzystwo nasze powitało was w tej starej stolicy Piastów i Jagiellonów....

(Przemowę przerywa mu chór Towarzystwa muzycznego).

(Piękna Helena N. 7 A).

CHÓR.

W tym grodzie żyli Piastowie

I wielcy Jagiellonowie.

Witajcież nam

Witajcież nam

Naszą cześć! składamy wam.

KRÓL KURKOWY. *(przerywa chcąc zagłuszyć chór)*

Towarzystwo nasze jest najdawniejsze. Wszak jeszcze Zygmunt August kurka nam podarował.

CHÓR. *(przerywa mu),*

Witajcież nam

Witajcież nam

Witajcie zaccni ziomkowie.

(Goście stoją ostupieni nie wiedząc do kogo się zwrócić — Kortyna zapada).

ODDZIAŁ II.

Ogrod strzelecki, przez cały głąb sceny ciągnie się znana galerya, w której siedzą goście — Cała scena zastawiona stołami i stólkami pokostowanemi biało. Zdaleka słychać gwar biesiadników i przerwami muzykę wojskową.

SCENA 1.

Trzech młodzików siedzi przy stoliku na przodzie sceny, po prawej stronie widzów — przy odpowiednim po lewej Litwin i Papugowicz — W głębi goście obojej płci, kelnerzy uwijają się roznosząc piwo.

PIERWSZY MŁODZIK. (*Uderzając kuflem w stół*).
Kelner! piwa! (*Kelner stawia trzy kufle*).

LITWIN. Czyż nie przyjemniej tutaj w chłodeczku, aniżeli tam w sali, gdzie taki ścisk, gwar. Przyznam się panu dobrodziejowi że mnie już tych mów trochę za wiele.

PAPUGOWICZ. Z przeproszeniem szanownego rodaka, ale przecież kaźden musi powiedzieć co ma na sercu.

LITWIN. Wszelako jedna okoliczność dla mnie bardzo boleśną — gdzie uszy puścisz jeden na drugim psy wiesz, aż głowa pęka słuhać.

PAPUGOWICZ. Ha cóż robić mospanku, to te zdrajcy arystokraty i Jezuity wszystkiemu winny. Zaprzędali Polskę, to i nas chcą sprzedać.

LITWIN. Komuż?

PAPUGOWICZ. A djabli ich wiedzą, dość że nieszczęśliwa ojczyzna i kwita — Pozwoli rodak kufelek piwa — dokonale tenczyńskie prosto z beczki.

(*Słychać okrzyki „Wiwat“*).

PIERWSZY MŁODZIK. Co oni tam za hecę wyprawiają.

DRUGI MŁODZIK. A cóż! stare facety, złapały sobie jakichś przybłędów i wydają im ucztę patryotyczną.

PIERWSZY MŁODZIK. Kulfony — nie mogą się wytrzeźwić z tego wyszarzanego patryotyzmu.

LITWIN. (*do Papugowicza*). Szanowny łaskawco, czy nie przesiądziemy do tamtego stołu — tam widzę siedzi młodzieź, chciałbym z nimi poznać się bo to kwiat i serce narodu.

PAPUGOWICZ. Ej czy to warto mospanku, to filozofy z respektem, próżniaki, co bez cały dzień nic nie robią, jeno się włóczę po bilarach i kawiarniach. Mam ci ja dwóch ta-

kich poniterów, dosyć mię sterali — no ale kiedy kochany rodak chce koniecznie, to se siądźmy wedle nich. (*przenoszą się do stolika obok młodzików*).

PIERWSZY MŁODZIK. Żeby raz djabli wzięli tę sentymentalność i spruchniałe ideały przeszłości. U mnie idealem ryń a reszta śmieci. Niech żyje Ryń!

DWAJ DRUDZY. (*trącając się z nim kuflami*). Wiwat Ryń.

LITWIN. (*do Papugowicza*). A kto to taki ten pan Ryń, czy to jaki wasz mąż polityczny, albo może poeta? nie możnażby prosić Dobrodzieja, żebyś mnie jemu zarekomendował? możeby warto jego poszukać.

PAPUGOWICZ. A dyć go ta nie będziemy daleko szukali (*dobywa ryńskiego*). Oto jest.

LITWIN. (*zdziwiony*) Co?

DRUGI MŁODZIK. Wściekłość mię porywa na tych starych niedołęgów — marzycieli zamiast trzymać się zasad praktycznego pozytywizmu, wiecznie błąkają się po manowcach przeszłości (*z emfazą*). Grubośmy zapłacili za tę przeszłość — ale za to przyszłość nasza. My wprowadzimy naród na nowe drogi — Niech żyje! Niwa i Przegląd Tygodniowy warszawski — niech żyje zimny rozsądek i utylitaryzm! precz z marzeniami! (*pierwszy młodzik trąca się z nim*),

LITWIN. (*ze zgrozą*). Jezu Chryste, też to są słowa cesarza Aleksandra *point de rêveries!*

DRUGI MŁODZIK (*do trzeciego*). No a ty nie trącisz się.

TRZECI MŁODZIK. Nie — przeszłość dla mnie jest świętą! wypiję z wami ale na cześć przeszłości i szczęśliwej przyszłości.

PIERWSZY MŁODZIK. Oto go masz! poezya mu we łbie przewróciła — Już mam tej poezyi podtąd (*pokazuje palcem na szyję*). Bodaj ją djabli porwali razem z tym przekętym Mickiewiczem.

LITWIN. (*Zrywając się do pierwszego młodzika*). Co pan o Mickiewiczu powiedziałaś.

PIERWSZY MŁODZIK. Powiadam żeby go djabli, notabene, jeżeli są, wzięli razem z jego poezją, bo ta przekęta....

LITWIN (*przerzucając*). A ty chłystku jakiś, ty poważasz się bluźnić naszej świętości! ty!

PIERWSZY MŁODZIK. Panowie pojdźmy ztąd bo to jakiś waryat od śgo. Ducha, gotów zrobić skandal — pójdźmy (*wynosi się z drugim — trzeci pozostaje przy stole dopiero po chwili odchodzi*).

SCENA 2.

LITWIN i PAPUGOWICZ.

LITWIN. Jezu Chryste! Boże mój! czy ja śnię? młodzieź przeklina Mickiewicza. Toż u nas Moskal tępi, prześladowuje, pędzi na posilenie, do katorgi, a przecież dotąd ducha nie zabił. U nas pokryjomu każdy uczy się na pamięć Mickiewicza — przepisuje, chowa jak relikwie, chociaż za to Sybir. A tu Boże odpuść w kraju gdzie wszystko wolno taki chłystek pomiata naszym drogim wieszczem. Och jeżeli do tego swoboda prowadzi, to wam jej nie zazdroścę, wołę nasze prześladowanie i ucisk. Biednaż ty Polsko biedna!

(*Słychać za sceną muzykę grającą mazurka Dąbrowskiego, Litwin wybucha płaczem*). Nie... nie... jeszcze nie zginęła... a jeżeli ginie u was w wolnej Galicyi, to w naszej nieszczęśliwej Litwie żyje i da Bóg żyć będzie na wieki (*odchodzi z Papugowiczem*).

SCENA 3.

WARSZAWIAK i TWARDOWSKI.

TWARDOWSKI. A co to Waszeci skrzydła opadły.

WARSZAWIAK. Ależ bój się Boga trzy godziny obiadu i siedmnaście mów a wszystkie z jednego tonu.

TWARDOWSKI. No, pragnałeś Waść tak gorąco po-

znać życie publiczne a przecież życia publicznego bez mów nie ma.

WARSZAWIAK. Wyobrażałem je sobie całkiem inaczej: prawią aż do znudzenia o Polsce ale jej w rzeczywistości dojrzeć nie mogę, chyba w tej niezgodzie i wzajemnem szkalowaniu się które nas zawsze piętnowały.

TWARDOWSKI. Pessimista z acana Dobrodzieja, to co nazywasz szkalowaniem się, jest po prostu tylko różnicą zasad i opinii politycznych.

WARSZAWIAK. Jakich zasad?... jakich opinij?... Te wszystkie wasze wyobrażenia i różnice polityczne, które nazywacie zasadami i na których opieracie te niby wasze stronnictwa, są to puste frazesy, bez żadnej podstawy. Wszyscy jak widzę w gruncie chcą jednego, a przynajmniej jednego nie chcą, ale nic nie robią żeby zamierzony cel osiągnąć. Społeczeństwo wasze czyni na mnie wrażenie trupa, którego poruszają prądem galwanicznym; miota się on gwałtownie ale sam nie wie po co i na co.

TWARDOWSKI. Ej pleciesz Waszmości ni w pięć ni w dziewięć, znać że jesteś cudzoziemcem i nie tradowali ci w szkołach psychologii i logiki galilejskiej. Ba i dla mnie jestto *terra incognita*, ale poczekaj, ja ci tu sprowadzę mędrca, który ci w mgnieniu oka wyexplikuje te wszystkie kontradycye (*ogląda się i spostrzega Wicherskiego w głębi za stołem nad kuflem piwa*) Panie Wicherski (*ten nie słyszy*) Panie Redaktorze! (*Wicherski zrywa się*) Prosimy na słówko.

WICHERSKI. (*podchodzi*) Służę.

TWARDOWSKI. Tłumaczę już od godziny zacnemu ziomkowi, co to jest rozolucya i wasz program nieodmienny — ale nie może mię zrozumieć — Pan jako polityk z powołania daleko lepiej go go objaśnisz (*szepcze Wicherskiemu do ucha*). Zakuty łeb z pod bata moskiewskiego.

WICHERSKI. (*Kiwa głową na znak że pojmuje o co idzie*). I owszem gdyż jestem w położeniu wykazania panu wystających kwestyi w naszej sytuacji. Rezolucya, panie dobrodzieju, są to postawione przez sejm krajowy postutata usystematyzowane w pewien rodzaj ultimatum, któremi naród złamany chce salwować swoją indywidualność.

WARSZAWIAK. Wybacz pan, ale nie zrozumiałem dobrze.

TWARDOWSKI. Wierzę bardzo bo to jest uczony język naszego dziennikarstwa, którym ono z bogaca naszą ubogą mowę.

WICHERSKI. Oto widzi pan, przez federalistyczną decentralizację chcemy rewindykować przysługujące nam należności sformułowane w rezolucyi w poszczególne punkta, które emanują z myśli zasadniczej nieodmiennego programu.

WARSZAWIAK. I jakież to są te szczegółowe żądania?

WICHERSKI. (*do siebie*) A to zawinięty umysł (*głośno*) przecież pan nie możesz żądać abym je umiał na pamięć.

WARSZAWIAK. Wszelako myśl i powód każdego muszą być panu dobrze znane.

WICHERSKI. Ktoby się tam bawił w szczegóły; na szczegóły nie kładziemy żadnego nacisku, z resztą wysadzona komisyja rezolucyę zredagowała doraźnie, wiele się tam wciśnęło niejasnych i niekoniecznych punktów, które możnaby odstąpić.

WARSZAWIAK. Musieliście więc panowie dać wskazówkę waszym delegatom w Wiedniu czego mogą ustąpić a czego nie?

WICHERSKI. Alboż to można obradować rezolucyę w licz-nem, otoczeniu? musimy trzymać się w tajemnicy, klerykały i arystokracja zarazby usiłowali z tego korzyść wyciągnąć, a powtórę, gybyśmy delegatom powiedzieli że można coś ustąpić, zarazby wypadli z równowagi i odstąpili wszystkiego.

WARSZAWIAK. Więc delegaci wasi są tak niepewni?

WICHERSKI. Ho ho panie im w głowie tylko koncesye, koleje żelazne, banki *verwaltungs-rathostwa*: *Reichsrath* to dojna krówka!

WARSZAWIAK. A pocóż takich wybieracie?

WICHERSKI. Ba gdybyż to my ludzie postępu i opozycyi mogli zmajoryzować sejm, tobyśmy wiedzieli co zrobić.

WARSZAWIAK. A gdybyście mieli większość w sejmie, czy odstąpilibyście od waszego programu nieodmiennego?

WICHERSKI. Ha dla czegożby nie, gdyby na to okoliczności wskazały.

WARSZAWIAK. A zarzucacie delegatom właśnie że

chęć odstąpić od tego świętego i nietykalnego programu.

WICHERSKI. Im nie wolno odstępować ani na koniec palca. Nam co innego, my jesteśmy opozycją i musimy przestrzegać naród przed zdrajcami.

WARSZAWIAK. Widzę teraz że rezolucya jest dla was trąbą reklam, dla trąbienia o swoim patryotyzmie i armatą z której strzela się do drugich ady ich spędzić z placu.

WICHERSKI (*do Twardowskiego*). Miałeś słusznie, to łeb zakuty, fatalną na mnie zrobił senszację (*wzrusza ramionami i odchodzi*).

SCENA 4.

WARSZAWIAK i TWARDOWSKI (*po odejściu Wicherskiego*).

TWARDOWSKI. (*Wołając na przechodzącego Bonawenturę*) Panie Bonawenturo, panie Bonawenturo.

BONAWENTURA (*Zbliżając się*) A co tam panie Wszędobylski.

TWARDOWSKI. Chciej pan wytłumaczyć zacnemu naszemu gościowi co to mameluki.

BONAWENTURA. Mameluki panie.... to jest tedy panie najniebezpieczniejsza partya.

WARSZAWIAK. Czegoż ona chce?

BONAWENTURA. Ma się rozumieć zgody ze rządem, chce nas panie zaprzedać Niemcom.

TWARDOWSKI. Chce bezpośrednich wyborów — zniesienia sejmu?

BONAWENTURA. Eh gdzież znowu... tak daleko iść panie nie śmie, ale zawsze gotowa zdradzić — dowierzać jej nie można.... bo się brata z Niemcami panie, a Czechów, Słoweńców i innych Słowian ignoruje.

WARSZAWIAK. A więc pan dobrodziej jesteś federalista.

BONAWENTURA. A niechże mię Bóg broni, a za ko-

goż mię to pan masz — Federacya panie, to rzecz nie praktyczna, psu na budę się nie zdała.

WARSZAWIAK. W istocie nie mogę sobie uporządkować w głowie tego mnóstwa partyi — Cóż znowu za jedni są rezolucyoniści?

BONAWENTURA. To panie bardzo porządni ludzie — Oni chcą rezolucyi.

WARSZAWIAK. Całej? Nietykalnej?

BONAWENTURA. Eh to znowu nie — zawsze można by co opuścić, choćby Krakowskiem targiem.

WARSZAWIAK. Więc i ci porządni i tamci — a dla czegoż jedni na drugich psy wieszają, kiedy chcą tego samego.

BONAWENTURA. Bo to widzisz pan, niby to samo a niby panie nie — Nieuwierzyłyś pan jak się w tym Wiedniu, w tej delegacyi ludzie psują — Niech tylko panie który roczek tam posiedzi, oho już dyplomata, już kręci... a taki co Wiednia nie powąchał, to całkiem co innego, gada jak wszyscy djabli aż miło słuchać.

TWARDOWSKI. Ot naprzykład partya krakowska.

BONAWENTURA. Brr! Oto panie kwintessencya arystokracji pod pantofflem Jezuitów, a zgodni jak jeden człowiek — niebezpieczni panie aż dreszcz przechodzi mię na ich wspomnienie.

TWARDOWSKI. Proszę — niemyślałem żeby pan Józef był tak niebezpiecznym — a z pozoru taki słodki... co za hipokryzya.

BONAWENTURA. Eh pan Józef to wyjątek — to złoty człowiek — czysty jak szkło, tylko że z niemi trzyma...

TWARDOWSKI. Szkoda że dostał się do takiego gniazda szerszeni.

BONAWENTURA. Aj to to.

TWARDOWSKI. A pan Nikodem?

BONAWENTURA. Nie można mu ubliżyć — porządny, panie — rozumny i praktyczny panie tylko że z niemi trzyma.

TWARDOWSKI. To już pewnie najgorszy pan Atanazy.

BONAWENTURA. A broń Boże, gdyby między niemi tego nie było, to jużby można zdesperować — harda sztuka to prawda, nos do góry zadziera i to panie prawda — ale pocciwy z kośćcami.

TWARDOWSKI. Więc któryż niebezpieczny.

BONAWENTURA. Jużci tak z osobna żaden — ale tak w kupie — ho, ho, to panie okropności.

WARSZAWIAK. I w czemże są tak niebezpieczni razem — jeżeli z osobna uczciwi.

BONAWENTURA. Oto w tem niebezpieczni, że niewiadomo czego oni chcą a głosują zawsze razem.... muszą być niebezpieczni kiedy panie na nich tak wszyscy biją.... *vox populi* panie.

WARSZAWIAK. A gdyby tak pana obrano posłem na sejm i następnie delegatem, do którejże partyi przyłączyłby się pan?

BONAWENTURA. Już to prawdę powiedziawszy to do żadnej bo mi się panie wszystkie nie podobają — ale utworzyłbym sobie nową partyę i stanąłbym panie na jej czele.

WARSZAWIAK. A z jakim programem jeśli spytać wolno?

BONAWENTURA. Z kądże ja mogę wiedzieć?... dość że program musiałby być uczciwy i najpraktyczniejszy dla szczęścia ojczyzny. Jużby się to panie jakoś zrobiło — ale przepraszam że muszę panów pożegnać bo mi się spieszy mamy dzisiaj panie zgromadzenie ludowe względem użycia pożyczki miejskiej.

TWARDOWSKI. Za czemże pan jesteś.

BONAWENTURA. A naturalnie przeciwko wodociągom, bo im się panie zachciało tych figłów, djabli wiedzą po co i na co. Toć mamy wodę w studniach: powiadają że nie zdrowa — ale jak Kraków Krakowem wszyscy ją pili i nikt panie na wodę nie umarł tylko naturalną śmiercią — Ot małpują zagranicę żeby tylko podatki zwiększyć. Muszę bronić miasto panie, bo jak te wodociągi porobią to pojedziemy panie wszyscy z torbami, wody nam się do gardła naleje.... unізony sługa (*odchodzi*).

SCENA 5.

WARSZAWIAK I TWARDOWSKI.

WARSZAWIAK. Powiedzże mi czy wasze społeczeństwo składa się z samych wartogłówów — czy nie ma ludzi, którzyby na seryo rzeczy brali i pracowali szczerze dla dobra kraju.

TWARDOWSKI. Są i jest ich dosyć, ale ci albo pracują w cichości, nie chcąc się narażać na szarganie, albo się do niczego mieszać nie chcą.

WARSZAWIAK. A czemuż nie chcą.

TWARDOWSKI. A bo im się nie chce. Dziwna to kupa piasku ten Kraków. Zdaje się że uchwyciłeś coś w rękę, a tymczasem wszystko się rozsypuje. Niby to zdrowe ziarno, ale z niego chleba nie upieczesz, bo każde chce być ziarnem dla siebie, żadnej łączności, żadnej solidarności.

WARSZAWIAK. A to dla czego?

TWARDOWSKI. Przez nałóg, przez towarzyskie przyzwyczajenie, koterye i lenistwo — każdy odosabnia się i żyje jak szczur w swojej jamie dla siebie: nie bywają nigdzie, nie przyjmują, nie łączą się — cóż więc dziwnego że ich pleśń porosła i wegietują pod jej grzybem, a nie mając czegoś lepszego do roboty, czernią się nawzajem. W gruncie poczciwi ludziska, ale parafiańszczyzna zachwaściła ich z kretesem. Wszystko co za rogatkami miasta, to głupota i barbaria, a oni pierwsi na całą Polskę, oto portret nie pochlebny ale niestety prawdziwy.

SCENA 6.

DAWNI, WOŁYNIAK, ŚWIERGOLIŃSKI, ROMEO
I GRZMOTNICKI.

WOŁYNIAK. Więc pański dramat nie otrzymał nagrody na konkursie?

ŚWIERGOLIŃSKI. Intrygi panie dobrodzieju — podle intrygi — wystaw sobie pan, zarzucili mi że na scenę wprowadziłem uwiedzenie — a przecież Dumas, a Sardou? a jednakże mój dramat był stokroć wyższy od tych zlepków francuzkich. To była olbrzymia allegorya. Uwodzicielem była Moskwa — uwiedziona nasz lud wiejski — matką zaprzędającą — podła arystokracja nasza — opiekunem Jezuityzm — nieszczęśliwym kochankiem — stronnicy pozytywizmu i postępu.... ale do komitetu sędziów wchodzi same peruki, albo kreatury arystokracji — więc nie poczciwego nie przejdzie, miernota capnęła 250 ryńskich a ja figę.

WOŁYNIAK. A może też dramat pański nie odpowiada warunkom konkursem objętym.

ŚWIERGOLIŃSKI. Co tam warunki, oni się znajdują na literaturze jak ktoś na pieprzu. Tu panie i Szekspir nie dostałby nagrody, jeżeliby nie potrafił zjednać sobie krakowskich wielkości, którzy sobie przywłaszczyli miejsca w areopagu krytyków — protekcyę — język gładki, względziki, ale nie talent i geniusz.

ROMEO. Albo ja panie : czwarty miesiąc jestem w teatrze, nie licząc że występowałem siedm razy w amatorskim — proszę o Hamleta nie dają, o don Karlosa — nie dają — o tego głupiego Figara nie — Franza Moora — nie. Djabli nadali że się zmieniła dyrekcyja we Lwowie — byłbym tam drapnąć i zagrałbym od razu co najmniej Zbigniewa w Mazepie, lub Grabca w Balladynie. Niech ich piorun zatrzaska z tym teatrem. I tu panie protekcyę, a jak się uprzedzi do kogo, to choćbyś był Żółkowskim nie da ci roli.

WOŁYNIAK. Myślę jednak że nie można od razu grywać ról wielkich, trzeba poczynać od małych.

GRZMOTNICKI. Co wy tam, milion krośet djabłów bełkociecie o waszych teatrach. Ja do stu kop djabłów mam większe prawa, bo zasłużyłem się ojczyźnie lepiej niż gryzi-piórki, komedyanty, bo tułam się od dziewięciu lat po całej Europie, a te łajdaki nie chcą mi dać kawałka chleba — bom emigrant!!

TWARDOWSKI. Ależ panie Grzmotnicki — przecież tylu emigrantów ma miejsca: panowie Onufry, Józef i Szymon w wydziale krajowym, pan Jan i Paweł w Towarzystwie ogniowém,

pan Nikodem i Symforyan w Banku — pan Bonifacy i Saturnin w Magistracie, pan Karol... eh nie potrafiłbym i zliczyć.

GRZMOTNICKI. Co mi tu waspan wymieniasz tę hołotę, co mnie obchodzą wszyscy ci co mają chleb, a dla czego ja go nie mam, he? Łajdackie miasto, podłe gniazdo spalić, nabieć w armaty i na cztery wiatry popioły wystrzelić, w perzynę obrócić jak Tuilerye i Hotel de Ville w Paryżu, żeby nie zostało ani dymu, ani popiołu! Tylu emigrantów ma chleb w Galicyi, a dla czego ja nie mam (*uderzając kijem w podłogę*), dla czego ja nie mam! do krośset djabłów?....

TWARDOWSKI. Byłeś pan leśniczym w Bąkówkach — a dla czego nie utrzymałeś się?

GRZMOTNICKI. Bo dziedzicowi ubrdało się, żeby mu cechował drzewo, a przyznasz pan, że mi to ubliża — mnie com cechował łby moskiewskie.

TWARDOWSKI. Byłeś sekretarzem rady powiatowej w Gaworlińcach i podziękowałaś.

GRZMOTNICKI. Bom nie głupi słuchać trąby szlagona, który ma takie wyobrażenie o urzędzie jak ja o chińskim języku — zwymyślałem, plunąłem i poszedłem.

TWARDOWSKI. No, a przecież byłeś pan i przy drogach, w służbie wydziału krajowego.

GRZMOTNICKI. Za 600 reńskich rocznie, to za mało żeby żyć, a za wiele żeby z głodu nie zdechnąć.

WARSZAWIAK. Są inni co i tego nie mają.

WOŁYNIAK. I za to można się skromnie utrzymać, a czekać na awans.

GRZMOTNICKI. Jaki awans? co za awans? albow ja to elew jezuicki, żeby mię panie rządzące wydziałem krajowym awansowały — ale widzę, że i panów już te łyki galicyjskie przerobili na swoje kopyto. Ich psia powinność dać mi przyzwoite utrzymanie choćbym nic nie robił (*uderzając kijem w podłogę*) bom się za nich bił!!....

TWARDOWSKI (*cicho do Grzmotnickiego*). Czy pod mostkiem? czy w rowie z kąd pan zwykle podczas bitwy komenderowałaś?

GRZMOTNICKI (*czelnie*). Bałwan pan jesteś i łgarz bezczelny, niech was tu wszyscy djabli porwią! wszyscyście

tu łyki i basta — ale ja was osmaruję w Kraju że się wszyscy djabli śmiać będą. (*Odchodzi z furją*).

ŚWIERGOLIŃSKI. Tęga sztuka, wszyscy się go boją, bo gotów na ulicy zrobić skandał — pyszny typ do komedyi. Wystawię Grzmotnickiego jako autora, którego komedję komitet odrzuca, a on mu sprawia lanie, (*do Romea*) pan będziesz grał — dam tytuł „Wały konkursowe“ (*do Wołyniaka*) pójdź pan, poznamoję pana z Kręcickiem — to także ofiara: biedny sybirak, któremu niegodziwy prezes komitetu sybiraków śmiał dowodzić że nigdy na Syberji nie był. — Oj mamy tu panie komplet nikczemników i łotrów z pod ciemnej gwiazdy. (*Wyprowadza go, Romeo wychodzi z nimi*).

SCENA 7.

WARSZAWIAK, TWARDOWSKI.

WARSZAWIAK. Osobliwsze społeczeństwo, nikt na nikim pocziwej nitki nie zostawi, a każdy sobie rości pretensye Bóg wie jakie i dla wywyższenia siebie gotów poniżyć drugiego — jak wy tu żyć możecie — u nas w Warszawie zupełnie co innego, jeden drugiemu pomaga, jeden drugiego wspiera.

TWARDOWSKI. Cóż waś chcesz — jesteśmy jak żaki, którzy nagle z pod dozoru surowego nauczyciela wydostali się na ulicę — więc tumult, wrzawa, bijatyka: próżniaki wrzeszczą i rozbijają się, a najpilniejsi uczniowie idą cicho i skromnie — otóż tamtych aś widzisz a o tych nie wiesz nawet że są na świecie.

WARSZAWIAK. Lecz zkąd taka zawiść? takie oszczerstwa? dla czegoż opinia publiczna nie odróżni złota od sychu?

TWARDOWSKI. Zawiść ztąd pochodzi, że dziś nastąpiła u nas epoka, gdzie każdy chce używać bez pracy i mozołu, a gdy do tego dojść nie może, stara się oszczerstwem zepchnąć drugiego ze stanowiska, któreby sam rad zająć. Ludzie pracowici są za skromni, a prawdę powiedziawszy za leniwi i za tchórzliwi żeby demaskować warchołów, którzy przy pomocy rozpasanego dziennikarstwa obrzuciliby ich błotem. A

opinia publiczna — poznam waścia z nią, a jak ją zobaczysz to się przekonasz dlaczego sama ona nie umie rozróżnić złota od szychu.

SCENA 8.

DAWNI, TEATR i POZNAŃCZYK.

TEATR (*w masce półtragicznej, półkomicznej — suknie wyszarzane, ubiór pół rzymianina pół trefnisia, w jednej ręce sztylet w drugiej laska z momusem*). Proszę pana, proszę chciałbym was zaprosić na przedstawienie abyście się przekonali czym nie taki dobry jak u was.

WARSZAWIAK. Czy pan przychodzisz w deputacyi.

TEATR. Nie ja się w wielką politykę nie bawię tylko w małą zakulisową moją własną politykę (*zdejmuje maskę*). Jestem teatr i spodziewam się że zaszczyicie przedstawienie, które dziś na wasze przyjęcie daję.

POZNAŃCZYK. I my mamy teatr wcale nie zły, ale o panu cuda słyszałem, wszystkie dzienniki nasze wciąż o panu trąbią, a osobliwie Tygodnik wielkopolski.

WARSZAWIAK. I nasz Kuryer warszawski także wciąż podaje o panu nowinki, lecz bez urazy, jakoś mi pan nie szczególnie wyglądasz.

TEATR. Ha cóż robić — chodzę w dekoracyach jeszcze przez nieboszczyka Meciszewskiego sprawionych — czasem się coś dosprawi, połata — lecz na nowe sukienki mię nie stać — ale już mam obiecane od ojców miasta że mię oporządzą.

TWARDOWSKI. Obiecanka cacanka.

WARSZAWIAK. Czemże nas pan zamierzasz uraczyć?

TEATR. Aby się wszechstronnie zarekomendować daję quodlibet, rodzaj *potpourri*. Będą więc wyjątki z Hamleta, Otella, Lira — scena z Snu nocy letniej — Poskromienia złośnicy i Wiele hałasu o nic. Ustęp z Macbeta, Ryszarda trzeciego.

POZNAŃCZYK. To pan widzę myślisz nas uraczyć samym Szekspirem.

TEATR. To moja słabość—kocham się na zabój w starym Wiliamku—ale obok tego uraczę was Szylerem, Słowackim, a nawet Rasyne.

WARSZAWIAK. Więc pan przeważnie uprawiasz tragedję.

TWARDOWSKI. A gdzież tam i komedye—uracz ich Turcaretem.

TEATR (*do Twardowskiego*). Pst. (*Do Warszawiaka*). Uchowaj Boże! dam wam także drugą zastawę Świętoszka, Cyrulika, Wesele Figara i Występną matkę.

WARSZAWIAK. Jak widzę i Beaumarchais'ego pan lubisz.

TEATR. To moja druga słabość—ale będziecie mieli także i Helenę, tylko z góry przepraszam że trochę przerobioną *ad usum delphini*, zastosowaną do gustu porządnej publiczności. Dam wam Córkę pułku, czwarty akt z Halki, a nawet i *Życie paryzkie*—wszystko to trochę poobcinane, bo to znowu słabość mojego dyrektora opery, który wszystkie trudniejsze numera bez pardonu wyrzuca.

POZNAŃCZYK. Ale podobno mimo gustu porządnej publiczności dajesz pan niekiedy komedye nie zalecające się zbyt pruderyą.

TEATR. Trzebaż przecie publiczność zapoznawać z społecznymi autorami—z ich utworami celnymi.

TWARDOWSKI. Jak na przykład trzy kosze i kalosze.

WARSZAWIAK. Co? co?

TEATR. Eh to Tricoche i Cacolet—no zapewne, gra się i takie farsy, bo publiczność jest rozmaita, jedni jadają u Heurteugo, drudzy w garkuchni a wszystkim trzeba dogodzić, bo u nas chociaż ceny są niskie, a publiczności mało, ale są wielkie wymagania; ten sroży się na Szekspira, tamten na Dumasa—ów chce pięknej Heleny, a tamten sztuki patryotycznej, tendencyjnej—łoże czego innego, parter znów czego innego, a galerya także.

TWARDOWSKI. Więc urządza się bigosik z ulubionych potraw, ażeby zaspokoić gastronomów sztuki.

WARSZAWIAK. A oryginalnych sztuk nie dajecie, przynajmniej jak piszą korespondenci wasi do naszych gazet, nie mają one szczęścia.

TEATR. I owszem gramy arcydzieła Fredry, Felińskiego, a nawet Zabłockiego, ale mówiąc między nami nie ściągają publiczności tak jak Życie paryżkie — jeszcze na nowsze więcej publiczność ucieszcza n. p. Epidemia, Pozytywni.

TWARDOWSKI. Dwaj złodzieje — Żyd w beczce.

TEATR (*usiłując go zagłuszyć*). Kopernika graliśmy, Kopernika, zresztą od czegoż konkurs — utopię was w oryginalnych sztukach.

WARSZAWIAK. A patryotyczne — mój Boże u nas to owoc zakazany a wam wszystko wolno — teatr musi być przepełniony, a grzmot oklasków nieustanny.

TWARDOWSKI. Próbował przeszłego roku Konfederatów Mickiewicza, ale zrobił fiasko, bo parter przeraźliwie ziewał.

TEATR. Dajże pokój Zojlusie, przecież przeor Paulinów miał szalone powodzenie i gdyby nie te przekłete odsłony.

WARSZAWIAK. Co to za odsłony.

TEATR. Ej to nic... widzisz pan, mamy maszyneryę archeologiczną, z czasów rzeczypospolitej, więc nic dziwnego, że troszki popsuta — to też jak chcemy zmienić dekoracyę, to trzeba zapuścić kortynę.

WARSZAWIAK. To nie tak jak u nas w wielkim teatrze w Warszawie.

TEATR. Nie psuj mi pan humoru wspomnieniami waszego teatru. To gniazdo korsarzy — ledwie że się człowiek czegoś porządniejszego dochowa, namęczył się, napracował — oho fir! do waszej Warszawy.

TWARDOWSKI. Nie zapomniacieś widzę Chomińskich, Królikowskiego, Rychtera.

TEATR. A Modrzejevska? a Rapacki? tylko Fryderyk pruski kradł tak grenadyerów jak wy aktorów — mam jednak nadzieję, że jak im się uprzykrzy próżniactwo warszawskie to powrócą na moje ojcowskie łono.

TWARDOWSKI. A Lwów, czyż lepszy, to ci świsnął Parysa w sam dzień pierwszego przedstawienia pięknej Heleny.

TEATR (*prędko*). Ale go napowrót odkradłem. Lwów dostanie żółtaczkę ze złości jak wam dam Arystofanesa, którego dotąd od czasów starożytnych na całej kuli ziemskiej nie grano.

POZNAŃCZYK. No trzebaż go odwiedzić.

WARSZAWIAK. Z chęcią lubo jestem przekonany z góry, że nie jest w stanie wyrównać naszemu teatrowi.

TEATR. Nie przeczę, że materyał macie, ale nie umiecie skorzystać ze środków — karmicie publiczność ogrzewanemi potrawami — (*wpadając w zapal*). Ach gdybyśmy to mieli takie zasoby, taką garderobę, dekorację, maszyneryę, taki ogrom publiczności, takie ceny, dopierobyśmy wam pokazali jak z nich można skorzystać.

WARSZAWIAK. Ciekawy jestem cobyście mogli wymyśleć lepszego od naszej dyrekcyi.

TEATR. O pozwól pan z tych materyałów jakie wy posiadacie, zrobilibyśmy najpierwszy teatr w całej Europie. Tymczasem u was mimo ogromnych funduszków i zapalanej do sceny publiczności wszystko się marnuje.

WARSZAWIAK. Zdaje się panu.

TEATR. Mnie się nigdy nic nie zdaje i zaraz panu tego dowiodę.

ŚPIEW VIII.

(*Galatea No 6*).

I.

Warszawa ma przyznają to

Zasoby sił — rutynę swą

Warszawa — Warszawa.

Artyści są do pierwszych ról,

Żółkowski, Modrzejewska Król

W Warszawie — w Warszawie.

Lecz powiedzmy szczerze od dwudziestu lat,

Kogo z waszej szkoły puściliście w świat,

Co tylko lepszego dał teatr wam nasz,

Prócz kilku artystów miernoty pan masz,

A gdy ich zabraknie z teatrem fik mik,

U nas przecie trochę lepiej bo nasz Kraków ma

swój szyk.

II.

Warszawa ma w wystawie prym

Zadziwiał świat przepychem swym

Warszawa — Warszawa.

Atlasy lśnią, nic wam nie brak,
 We wszystkim znać wytworny smak
 W Warszawie w Warszawie.
 Lecz co dekoracye, lub wytworność szat,
 Gdy grają wciąż sztuki odwieczne jak grat.
 Pafnucy i Narcyz, Zbudzenie się lwa.
 I głupstwo za głupstwem, na scenę się pcha,
 Choć o to w dziennikach codziennie ma krzyk
 U nas Szekspir, Rasyń, Molier, bo nasz Kraków ma
 swój szyk.

III.

Jak teatr wasz może się wznieść,
 Gdy uczą sztuk miesięcy sześć
 W Warszawie w Warszawie.
 Gdy nowy plód pojawi się,
 Aktorzy tną, cenzura tnie,
 W Warszawie w Warszawie.
 Gdy który z artystów z roli nie jest rad,
 Utwór leży w szafie przez dziesiątek lat.
 Nie jeden do śmierci nie doczeka się,
 By choć raz na scenie ujrzał prace swe,
 Więc sztuk oryginalnych nie wielki tam lik,
 Za to u nas konkurs co rok, bo nasz Kraków
 ma swój szyk.

(Kłania się i odchodzi).

WARSZAWIAK. Pocieszna figura wypalił mi potężne
verba veritatis. *(Słychać hałas mnóstwo ludzi napelnia scenę).*
 A tu znowu co?

TWARDOWSKI. To deputacya ze stołecznego miasta
 Lwowa.

SCENA 19.

DAWNI, WOŁYNIAK, LITWIN z lewej strony, LWÓW
 na czele kilkunastu obywateli w kontuszach i czamarach z pra-
 wej strony, podczas gdy naczelnik deputacyi przemawia, LWÓW
 popycha go naprzód, gestykuje i drugim dodaje zachęty.

NACZELNIK DEPUTACYI. Szanowne panowi i obywateli — miasto Lwów dowiedziawszy si o waszym pobycie w królestwie Galici i Lodomeryi z wielkim księstwem Krakowskim, wysłało swoich obywateli, które mają sobi za miłą obowiązek prosić, ażebyście nas swoją obecnością zaszczylili. Ja wysadzony na ten cel jeneralny mówiec mam zaszczyt powitać was imieniem stułecznoego miasta, a putemu imieniem wszelkich stowarzyszeń, to je klubu postępowego, Towarzystwa demokratycznego, z podporządkowanemi jemu instytucjami, jak to Towarzystwem Gimnastycznym, sejmem, wydziałem krajowym i klubem kobiet emancypomanych, i tam dali, i tam dali. Już wielki festyn przygotowany je na wasze przyjęci: będzie festyn ludowy w pewnym ogrodzie jezuickim, a tera narodowym — putemu posiedzeni postępowe w strzelnicy, jeżeli kumpletu nie brakni — putemu zaproszenie do sypania kopca Unii — putemu wielki fakielcug — przez ulice Kościuszki, Kilińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Sobieskiego, Jagiellońskie, na plac Gołuchowskiego.

WARSZAWIAK. Panowie... z największą chęcią — lecz chcieliśmy wprzódy poznać kraj — Rady powiatowe.

NACZELNIK DEPUTACYI. Tażęż można poprzód po drodze wstąpić. — Je ich kilka na kolei Karola Ludwika — prosimy bardzo — sznelzug zaraz odchodzi. — Dalej na kolej. — Niech żyją ziomki.

DEPUTACYA. Vivat.

CHÓR. (*Piękna Helena*). (*Jedź do Cytery*).

Jedźcie do Lwowa — Jedźcie do Lwowa,

Jedźcie do Lwowa póki czas,

Uczta gotowa — uczta gotowa,

Uczta gotowa czeka was.

Festyny śliczne, demokratyczne,

I liberałów cały tłum.

Szkoły nie — szkoły — Orły, sokoły,

Otwarty dla was kaźden dum.

(*Porywają na ręce Warszawiaka, Wołyniaka, Litwina i Poznańczyka i wynoszą wśród śpiewów, krzycząc vivat!*)

KONIEC OBRAZU.

OBRAZ III.

Opinia publiczna.

Teatr przedstawia duży pokój wcale nie elegancki — Głęb sceny zastawiony szafami i półkami, zapchanymi dziennikami. Przód zajmują bióra. Pierwszem po lewej od strony widzów, jest elegancki ale bardzo staroświecki kantorek (Czas). — Obok kantorka nieco w głąb, kłęcznik z pulpitem („Przegląd Lwowski“). Obok tegoż kantorka nieco ku przodowi i środkowi sceny, wytworne bióreczko damskie, z złożonym ecritoirem, przez nikogo nie zajęte — na boku biórka, od strony widzów przybita złota korona z 9 pałkami („Przegląd Polski“). Po prawej stronie na samym przodzie sceny, koślawy stół czarny z galeryjką („Gazeta Narodowa“). Po za nią biuro duże po urzędach zwykle używane, na nim zawieszona karabela, a na wierzchu szafki leży kapelusze galowy, stosowany. („Dziennik Polski“). Ku środkowi, wysoki pult kupiecki, z koziołkiem do siedzenia. („Kraj“). Przy drzwiach prosty stół z drzewa białego, za nim ława chłopska.

SCENA 1.

Czas w postaci Saturna w staroświeckich okularach, z ogromną siwą brodą, łysy; kosa oparta o bióro, klepsydra na wierzchu kantorka, obok niego kropielnica miedziana z wielkiem kościelnym kropidłem: pisze olbrzymiem piórem łabędziem, gdy inni używają ogromnych piór stalowych, prócz Osnowy, która pisze gęsiem. Dalej pisze kłęcząc na kłęczniku Przegląd Lwowski, ubrany jako Basińo z Cyrulika Sewilskiego, w kapeluszu z ogromnymi skrzydłami, od czasu, do czasu, kładzie pióro, do bywa z kieszeni książkę do nabożeństwa i modli się. Narodówka w stroju przekupki z placu Szczepańskiego, w konfederatce na głowie. Kraj ubrany w długi czarny surdut aż do kostek, na głowie czapka frygijska, broda czarna i takież gęste brwi. Dziennik polski w uniformie z kołnierzem aksamitnym i złotymi guzikami, na głowie kipiąca konfederatka, pas i szarawary w buty.

Osnowa przy samych drzwiach wchodowych, ubrana jak ruska chłopka. Pomiedzy dziennikami skacze wciąż Szczutek, podrostek ubrany jak sześciolatek dziecko, gra w piłkę, która wpada czasami na bióra i przeszkadza piszącym. Djabeł także mały chłopak, całkiem czarny z wywieszonym ozorem i długim ogonem, przewraca się. Przez cały ten obraz Djabeł nie przemawia ani słówka, tylko włoczy się od biórka do biórka, robi różne lazzi, gra palcami na nosie, żeby ich uwagę ściągnąć na siebie, ale to mu się nie udaje, bo nikt go nie widzi, wyjąwszy Czasu, który, gdy mu się Djabeł zanadto naprzykrza, macza kropidło w wodzie święconej i kropi. Afisz stoi w środku izby nieruchomy na podwyższeniu z rozłożonemi ramionami, od czasu do czasu woła „afisz za 5 centów“. Za podniesieniem kurtyny wszystkie dzienniki w głębokim milczeniu zawzięcie piszą, że tylko sły-chać skrzyp piór. — Po długiej pauzie Narodówka spogląda na Czas i zaczyna warczyć. Na ten głos Kraj zaczyna szczekać na Czas, który nawzajem wyszczerza zęby na swych przeciwników i odszczekuje się. Po chwili wszystkie wysiadają z za swoich biór i szczekają na siebie, nie widząc Djabła, który im stara się wleźć w oczy. Wtem Szczutek ode drzwi przewraca kozła na rękach i nogach ku przodowi sceny i przewraca Kraj i Przegląd Lwowski. — Przestraszone dzienniki umykają na swoje miejsca i zaczynają na nowo zawzięcie pisać.

NARODÓWKA (*pisząc*). „Czas“ pisząc, że sejm krajowy powinien reflektować na to co ma robić, chciał po prostu, żeby sejm kopnął nogą godność kraju.

KRAJ (*przerywając*). Którego kraju?

NARODÓWKA (*z pogardą*). A jużcić nie ciebie wywłoko! (*Pisze dalej*). „Godność kraju i jego interes. Ale pomimo tej podłej kabały nikczemnego organu Arystokracji i partii Krakowskiej, nie udało mu się sztuczka, gdyż widząc mnie stać na straży narodowego honoru!!...“

CZAS (*nie mogąc powstrzymać się dłużej*). Jak ty możesz stać na straży honoru, kiedy go sama nie masz?

NARODÓWKA. Cicho (*Pisząc dalej*) „...honoru narodowego...“

CZAS (*przerywając*). Jak ty śmiesz pisać takie bezczelne kłamstwa?

NARODÓWKA (*śmiejąc się*). Cha, cha, cha, on to kłamstwem nazywa... cha! cha! cha!

SZCZUTEK. Narodówka nigdy nie kłamie.

CZAS. Przeczytałaś *biało*, a wrzeszczysz *czarno*.

NARODÓWKA. Och ty stary Menelausie — a któż dziś robi inaczej? To się właśnie nazywa odwagą cywilną, obwiniać nieprzyjaciela o występki, którego nie popełnił.

CZAS. Ależ nikt ci nie uwierzy! cały świat zadementuje tę kalumnię.

NARODÓWKA. Wbijże sobie dziaduleńku w swą pustą mózgownicę tę maksymę, że kto najgłośniej wrzeszczy ten ma rację.

KRAJ (*poprawiając*). Ma słusznie! ma słusznie!

CZAS (*pisząc*). Nie mamy zwyczaju odpowiadać na impertynenckie napaści Gazety Narodowej. Gdybyśmy chcieli odpowiadać na wszystkie jej tendencyjne fałsze i notować ilekroć razy na dzień powie czarno, a ile biało, musielibyśmy codziennie wydawać osobny dodatek. Tym razem przecież musimy powiedzieć jej że kłamie bezczelnie i nikczemnie te instygowania odprawiając pogardliwym uśmiechem politowania, zamykamy dalszą polemikę!...

KRAJ (*pisząc*). Intrygi jezuitów coraz więcej gęstą siatką ogarniają kulę ziemską od przylądka Dobrej Nadziei na wyspie Brazylii, aż do Makao stolicy Kalifornii...

SZCZUTEK. Mianujemy Kraj professorem geografii w przyszłej Politechnice krakowskiej.

KRAJ (*skromnie*). Dziękuję. (*Pisze dalej*). Wszędzie ten zakon czarnych ultramontanów, popierany przez reaków i klerykałów, przez arystokrację te gałęzie zgniłe niegdyś świetnego drzewa, czycha na wolność ludów i grozi naszemu krajowi ostateczną zgubą.

CZAS (*prędko*). Któremu krajowi?

SZCZUTEK. (*Podbijając nogi Krajowi, przewraca go*). Temu!

DZIENNIK POLSKI. (*Korzystając z upadku Kraju, pisze prędko*). Dowodem tego jest, że nawet pielegnowanie chorych w szpitalach, godny nasz Wydział krajowy, powierza tak zwanym siostrą miłosierdzia, które stokroćby lepiej zaśłużyły się krajowi idąc za męż, aniżeli oddając się nałogo-

gowemu lenistwu i próżniactwu. Dla tego też zniesienie wszystkich klasztorów i zabranie ich dóbr na własność miasta Lwowa, nie mniej jak zaprowadzenie *civil-Ehe* uważamy za piekącą kwestyę i najgwałtowniejszą kraju potrzebę.

KRAJ. (*Pisząc*). I dla tego sejm powinien na to wziąć wzgląd i zrobić uważną delegacyę.

PRZEGLĄD LWOWSKI. (*Pisząc*). Jadem bezbożności i bezwyznaniowości żydowskie dzienikarstwo nasze z wyjątkiem Czasu (*klaniają się sobie nawzajem*) zarażają młode pokolenie. A wszystko to jest winą liberałów a jeszcze stokroć niebezpieczniejszych moderantów, którzy pod płaszczykiem...

NARODÓWKA. (*Przerywając mu*). Zamknijże do milion djabłów papę, bo nie mogą zestawić bilansu ducha narodowego z przeszłego roku.

INNE DZIENNIKI. I ja także i ja także! musimy zestawić bilans roczny — róbmy rachunki.

NARODÓWKA. Pod nieśmiertelnem hasłem...

KRAJ i DZIENNIK POLSKI. All is true! All is true!

SZCZUTEK. All is mues!

CZAS. (*Pisząc*). Wszystko jak najgorzej, bo w mojej księdze głównej olbrzymie minusy. Rubryka: rozum — *debet* — rzetelność — *debet* — zgodność — *debet* — praca — *debet* — a kościół?! (*rzuca pióro i załamuje ręce*). Idziemy do bankructwa.

KRAJ. (*Poprawiając*) Mówi się oszukańczej kredy — ale kłamiesz to wszystko kalumnia! — stoimy wybornie — Szlachtę djabli biorą;

NARODÓWKA. (*Pisząc*). Wszystko jak najlepiej. Kapitał zakładowy narodu podniósł się niesłychanie — Intelligencya w ludzie rośnie olbrzymio. Co za duch! co za rozum! jaką wytrawność w polityce? co za cnota. Warstwy tylko wyższe wynarodowione, nie polskie — nie moralne.

KRAJ. (*Krzycząc*). Adhereale Jezuitów! mary nocne! stara, zgniła, niepłodna arystokracya, na łysą górę z niemi! do grobu zapomnienia!

SZCZUTEK. Do Palestyny!

NARODÓWKA. (*Do siebie*). Coś mi się rachunek nie zgadza — ale mniejsza o to — zrobię jak pewne Towarzystwo akcyjne wiedeńskie, *passiva* ukryję i odłożę na przyszłość,

a wykażę ogromne *aktiwa* w terażniejszości, choćby nawet kontem kapitału zakładowego narodu. (*Piszqc*). Rezolucya — plus — opozycya — plus — Rady powiatowe — plus — Przemysł — plus — Handel — plus — Kredyt — plus — akcye nasze na wszystkich giełdach europejskich niezmiernie poszukiwane jak szalone pędzą w górę. Teatr lwowski, był pierwszym teatrem na kuli ziemskiej, dopóki komitet teatralny, podła zgraja intrygantów i ignorantów nie usunął mnie i genialnego mego sukcesora od zarządu. Jednem słowem prócz tego minusu, bilans tegoroczny przeszedł oczekiwania największych optymistów. Ciesz się narodzie! ufaj mi! słuchaj mnie! abonuj mnie, a będziesz zbawionym.

SCENA 2.

Dawni i PRZEGLĄD POLSKI.

Ubrany jak Stańczyk — wchodzi powoli zaspany — przeciąga się — potem zasiada przy swem biurczku — odsuwa szuffadkę i leniwo grzebie w papierach.

KRAJ. A... złoty młodzieniec, J. wielmożny Stańczyk jużęsto wstał.

NARODÓWKA. Zwyczajnie wymokły panicz — nie lubi się spieszyć, kiedy inni pracują dla dobra narodu, on się wylega — pieczeniarsz!

SZCZUTEK. Narodówka brzydzi się pieczenią pospolitą lubi tylko wiedeńskie Sznycle!

DZIENNIK POLSKI. Na czymże przyjechałeś? — na ślimaku czy na żółwiu?

CZAS. Dajcie mu pokój, on i tak się pospieszył, dopiero piętnasty miesiąca a on już wyszedł.

PRZEGLĄD POLSKI. Niby to pierwszy a piętnasty nie wszystko jedno — jednak wcześniej od was wszystkich wychodzę...

WSZYSCY. Jako?...

PRZEGLĄD POLSKI. A ma się rozumieć — bo zaw-

sze idę o miesiąc naprzód i gdy wyjdę n. p. 16 marca, to się rachuje już na kwiecień (*d. s.*) Otom się wykręcił. (*Szuka w szufladzie*). Gdzież u licha rękopis? ... zameczki podolskie i zameczki podolskie — a zresztą nie... źle... oj teko! moja teko! gdzie to te świetne czasy. (*Wzdycha, podpiera głowę jak na obrazie Matejki i kiwa głową*).

KRAJ. Słyszycie wzdycha za swoim paszkwilem.

NARODÓWKA. Nie... on medytuje nad tem jakimby sposobem odzyskać utracony kredyt, bo się haniebnie zabrał.

KRAJ. A sprawa szlązka... hę — odsądził Szlązaków od narodowości polskiej — żeby się przypodobać centralom — musiała mu arystokracja grubo posmarować.

CZAS. Ani się waż ubliżać Przeglądowi — ma on swoje wady bo nie jest ortodoxus i moderantyzm jakiś nie lepszy od starokatolicyzmu chce nam wprowadzić (*z westchnieniem pobożnem*). Za co niech będzie potępiony — ale nie jest przepukny jak ktoś, coby rad pierwszemu lepszemu sprzedać się — tylko że go nikt nie chce kupić.

KRAJ (*przyskakując do Czasu*). Czy to do mnie przy mówka?

PRZEGLĄD POLSKI. Uderz w stół a nożyce się odezwą!

KRAJ (*przyskakując do Przeglądu polskiego*). Ach ty nizezemna arystokratyczna papko — ja cię nauczę!

CZAS (*przerrywając mu*). Sam się wprzód ucz nim zaczniesz uczyć drugih.

KRAJ (*do Czasu*). Poczekaj, ja ci zaraz zapłacę. (*pisząc*). Czas, ten podły sługus reakcyi, zaprzędany obskurantyzmowi, pacholek Zmartwychwstańców i Jezuitów wziął śmiałość napisać, że składki na oświatę ludową nie mają sensu, czem patriotyzm ogółu nie przyjemnie był uderzony... ale znajdziemy sposobność wejścia we wszystkie zarzuty i poszczególne je... nie mając żadnej obawy przed tym starym idiotą.

CZAS (*pisząc*). Zanadto się szanujemy, żebyśmy mieli odpowiadać Krajowi. Przecież w dwóch słowach odeprzeć musimy fałszywą naszego artykułu interpretację.

DZIENNIK POLSKI (*pisząc*). W Wiedniu przydałby nam się jaki człowiek z głową.

CZAS (*pisząc*). Dziennik polski pisząc to, myśli, że zrobił jakie nowe odkrycie. Tymczasem pisaliśmy o tem je-

szcze za Jana Kazimierza, kiedy za poradą Maryi Ludwiki, udał się do dworu wiedeńskiego o pomoc, (*Patrz Czas No 326 z dnia 18 listopada 1655 roku*) że zdałby się nam w Wiedniu jaki człowiek z głową.

SZCZUTEK. Poślijcie kogo z Towarzystwa demokratycznego lwowskiego.

PRZEGLĄD POLSKI. Co ja napiszę, żeby im trochę krwi popsuć — aha powiem o Rezolucyi, że nie trzeba więcej jeść jak można strawić.

CZAS (*dostłyszawszy*). Ten bęben irytuje mię swemi teoryami himerycznemi, anektując sobie z dziwną arrogancją sentencye, które z nas emanowały. (*Pisze*). Pisaliśmy o tem, że nie trzeba więcej jeść jak można strawić z okazji śmierci Apicyusza przez obżarstwo, za panowania I. C. Mości Tyberjusza (*Patrz Czas z 4. Calendas Junii roku 35 po nar. Chr. Pana.*)

KRAJ. W 35 lat po narodzeniu Chrystusa.

CZAS (*do Kraju*). Jak śmiesz wymawiać imię Chrystusa pana ty bezwyznaniowy chłystku.

KRAJ. Ja się tylko pytam. Czyś ty już wtenczas wychodził?

CZAS. Wiedźże ignorancie, że począłem się równo z reakcją świata, a gdy on wyekspiruje to się ztransfiguruję w wieczność i będę sobie żył nawet wtenczas kiedy już tobą nikt pieprzu zawijać nie będzie.

KRAJ. Ale wszyscy pamiętać będą, że jak chorągiewka zmieniałeś swe opinie. Pamiętasz rok 1863 — jakim to byłeś rewolucjonistą — pamiętasz jak trąbiłeś o zwycięstwach Langewicza, jak go zrobiłeś dyktatorem.

CZAS. Kłamiesz! jam się nie mieszał do niczego.

KRAJ. Cały świat wie, że jesteś do niczego — a przecież szkodliwszego dziennika od ciebie nie ma. Rzym twoją ojczyzną ale nie Polska.

CZAS. A ty nie masz żadnej, boś kosmopolita...

KRAJ. Nakrećasz fakta do twoich tendencyj, — inne przekrećasz, o innych milczysz, płaszczysz się przed arystokracją — liżesz stopy Jezuitom i razem z koleżką Przeglądem usiłujecie zamydlić oczy narodowi i chodzisz nadęty jak

pęcherz bo ci się zdaje, żeś co najmniej *Tajmsem* — a tymczasem każdy wie, że jesteś niedołążny, stary i ślepy Czas...

CZAS (*porywając się*). A tego już nadto. (*Siada*). Nie, nie, ubliżyłbym mojej powadze, gdybym się bił z takim ulicznikiem.

NARODÓWKA, (*która tymczasem zaglądała przez ramię Przeglądu polskiego*). Patrzcie co on napisał — wypiera się rezolucyi, zdrajca! Przekupiony przez centralów! bierzcie go! (*Wszystkie dzienniki prócz Czasu zrywają się i otaczają Przegląd polski*).

WSZYSTKIE DZIENNIKI. Powiesić! ukamienować! oknem wyrzucić! ha łotrze! a Stańczyku!

SZCZUTEK. Huż! Huż! Huż!

NARODÓWKA (*porywa rękopis Przeglądu i czyta*). A w razie zaprowadzenia bezpośrednich wyborów nie pozostanie nam jak stanąć po stronie opozycyi.

CZAS. I cóż w tym złego?

NARODÓWKA. Co? Jest za bezpośrednimi wyborami, sam się wyraźnie przyznał.

CZAS. Ależ kiedy radzi stanąć po stronie opozycyi...

NARODÓWKA. Ale jakiej? Ministeryalnej — centralistycznej ma się rozumieć.

KRAJ i DZIENNIK. Tak, tak, tak!

KRAJ. Oni zawsze z Czasem pod jednym dachem siedzą.

DZIENNIK POLSKI. Oblewają zimną wodą ogień miłości ojczyzny, ale poczekajcie przyjdzie czas że będziecie go chcieli na nowo rozdmuchać, lecz będzie za późno, bo ostatnią iskierkę zagasiliście i zmieniliście młodzież w kupę zimnego popiołu.

SZCZUTEK. Ale za to kraj będzie bogaty a liczba materialistów i świętoszków wzrośnie olbrzymio.

NARODÓWKA. Ha na znak oburzenia i zgrozy rozdieram na sobie szaty! (*Rozrywa fartuch na dwie połowy*).

KBAJ. O zacna kapłanko narodowego Ducha!

DZIENNIK POLSKI. Wiwat Jancio! Oto wyrznął kominka.

NARODÓWKA. Zakazuję ci perekińczyku nazywać się polskim; rozumiesz?

DZIENNIK POLSKI. Nie zaczynaj ze mną sekutnico!

NARODÓWKA. Świętojurzec! urwipoleć! łyk! kołtun!
 DZIENNIK POLSKI. Chorągiewka na dachu! intrygantka, stara trajkotka sprzedająca się każdemu kto lepiej płaci.

KRAJ (*Do Narodowki*). Ona ma ogromną gębę, mojego korespondenta przezwala ulicznikiem — Powiem ci w twarz żeś prawdziwa przekupka.

NARODÓWKA. A ty jeteś koszerno — teutoński — centralistyczny żyd.

KRAJ. Nie widzę w tym nic upokarzającego że ktoś jest żydem, ale przyznać się muszę otwarcie że nim nie jestem, ale tak dobrym bezwyznaniowcem jak wszystkie wiedeńskie dzienniki, a jeśli mam co wspólnego z żydami, to to, że brzydę się wszelką nierogacizną i dla tego postanowiłem na wszelkie twoje wycieczki wcale nieodpowiadać!

CZAS. Patrz Kraj N. 55 z dnia 7 marca roku przysłego.

DZIENNIK POLSKI. (*Do Narodowki*). Jesteś pantoflem rozdeptanym przez wszystkie stronnictwa — któregooby i żyd z Zarwanicy nie kupił — korbą do pompowania guldenów z kieszeni prostodusznych abonentów, których łowisz na łgarstwa i skandaly.

NARODÓWKA. (*Zamierzając się*). Ejże! przestań! bo ci zamknę podwoje.

SZCZUTEK. Huż ha! huż, huż. (*Popycha Dziennik na Narodowkę*). Wiwat poważna polemika dziennikarska!

DZIENNIK POLSKI. Ja się nie sprzedaję — ja nie wchodzę w sojusze z wiernokonstytucyjnymi — Ja nie mam stosunków poufnych.

PRZEGLĄD LWOWSKI. (*Który tymczasem plądrował w biurze Dziennika Polskiego, wznosi do góry jakiś papier, który wprzód przeczytał*).

Hola! Cicho! Mam tu cudowny dokumencik: posłuchajcieno co Dziennik polski pisze.

DZIENNIK POLSKI. (*Przestraszony*). Co to jest? Moj list! o ty szpiegu! ty Jezuito dawaj to! (*Chce wydrzeć, ale inne dzienniki nie dopuszczają*).

PRZEGLĄD LWOWSKI. Słuchajcie! (*Czyta*). Kochana nowa Presso. Jak możesz zapoznawać wierność tego, który ci dozgonną posłubił adoracyę. Kiedyż przyjdzie upragniona

chwila że będę mógł z tobą zawrzeć *Noth - civil - Ehe*. Podzielam twoje zapatrywania, chcę ci dopomagać, ale nie mogę otwarcie — a przyślij mi jaki *Geschenk*, bo w tym głupim kraju nie mogę liczyć na abonentów.

WSZYSCY. Na szubienicę! na szubienicę!

CZAS. Jeszcze w numerze 235 z dnia 10 września 1869, z okazji exorbitancyi demokratycznych Dziennika Polskiego, konstatowałem jego zidentyfikowanie, z *Neue - freie - Presse*, ale był to głos wołającego na puszczy. (*Wzrusza ramionami*). Alboż wy mnie systematycznie czytacie?....

DZIENNIK POLSKI. (*Czelnie*). No i coż myślicie że się was boję, list ten pisała dawna redakcja, a ja za to nie mogę — Z resztą wydrukujcie sobie ten list, ja się niczego nie wstydzę.

NARODÓWKA. Wierzę! wierzę! Wiemy to że jesteś bezczelny.

DZIENNIK POLSKI. A ty może lepsza? ty przykładna matrono — Znać zapomniałeś już o procesie jaki ci wytoczyłem. (*Do Kraju*). A ty Katonie cnoty zapomniałeś także o swoim liście do pewnego ministra bez teki, któremu ofiarowałeś się sakumpak.

NARODÓWKA i KRAJ. Kłamiesz! łżesz ty bezczelny potwarco! (*Zaczynają szarpać Dziennik*).

OSNOWA. (*Wpadając pomiędzy nich*). Pany szo robyte! takaja borba wstydywaja ricz dla takich welykich paniw! och nieszczęśliwa hodyna, nieszczęśliwa hodyna!

NARODÓWKA. (*Odpychając ją*). Czego się mieszasz chamska duszo czy i ty chcesz co oberwać?

OSNOWA. Panowe Lachi duszu zahubycie! szcze sobi hirszoho łycha nabawycie; podywłajcie sia, toż wraży syn Słowo pidhlidajet was, radujet sia i wytykajet palcami paniw Lachiw szczo bijutsia — mir! mir!

KRAJ. (*Cofając się*). Ma słusznie! Zgoda panowie! Zgoda!

NARODÓWKA. Nie ma zgody! Nie ma zgody! bij kto w Boga wierzy! (*Popycha Dziennik Polski na Przegład Lwowski, któremu tamten strąca kapelusz, przewraca Djabła nawijającego się jej pod nogi, a pochwyciwszy kosę Czasu pędzi przed sobą Kraj i Dziennik Polski umykające przed*

nią. Czas przysiadłszy do ziemi kryje się za Przeglądem Polskim, który zapaliwszy cygaro, zakłada ręce po napoleońsku i przypatruje się gonitwie.

SZCZUTEK. (Krzyczy z całego gardła). Goście idą! Goście idą!

WSZYSTKIE DZIENNIKI. Aj gwałtu! goście! goście! Biegną pędem do swoich biur poprawiając na sobie ubranie) Goście! obcy! Panowie przyzwoitość! (Usiadają w poważnej pozycji i zaczynają pilnie pisać).

SCENA 3.

DAWNI — WARSZAWIAK — TWARDOWSKI. (Warszawiak i Twardowski wszedłszy podczas bójki, przypatrywali się przez chwilę — a gdy się wszystko uspokoiło idą na przód sceny).

WARSZAWIAK. Gdzieżeś ty mnie przyprowadził — Czy to karczma?

TWARDOWSKI. Uchowaj Boże — to nie jest karczma, ale świątynia opinii publicznej, którą tak gorąco pragnęłaś poznać. (Wskazuje na dzienniki). A to są przewodnicy, kierownicy i oświeciciele narodu. (Do dzienników:) Zacni Mężowie i Damy, przedstawiam wam Warszawiaka, który szalenie tęsknił za Wami.

(Wszystkie dzienniki kłaniają się ze słodziuchnym uśmiechem).

WARSZAWIAK. Bardzo mi miło zrobić znajomość.

CZAS. (Występując z powagą i godnością). Pan mnie zapewne znasz, bo niegdyś, przed nieszczęsnym kataklizmem sześćdziesiątego trzeciego roku, bywałem w Warszawie.

WARSZAWIAK. (Usiłując przypomnieć). W istocie.... coś mi się zdaje.... jednakże nie mogę przypomnieć. przedstawże mnie tym panom.

NARODÓWKA. Nie potrzeba, my sami się przedstawimy.

ŚPIEW.

Z życia paryzkiego finał III aktu. Allegro.

NARODÓWKA. (*Występując naprzód do Warszawiaka*)

Jam Gazeta Narodowa
Lodomeryi pierwszy głos,
Wielka zacność, tęga głowa
W moim ręku kraju los.

KRAJ. Jam liberał pierwszy świata
Wróg religii, dzielny Kraj.

DZIENNIK. A ja dziennik demokrata
Zawsze z Krajem oba cwaj

CHÓR. Oba cwaj, tak oba cwaj.

CZAS. Ot paplą jak najęci
I we łbach im się kręci
(*do Warszawiaka*)

Poznajże przecież pan i nas }
To Przegląd polski a ja Czas } bis

CHOR. Coś złęgo tu się święci.
(*wskazując na Warszawiaka*)

Po co on tu się kręci
Jak Piłat w Credo tutaj wlażł }
Oszczekać jeszcze gotów nas } bis

(*Djabeł chce śpiewać ale go wszyscy odpychają*)

PRZEGLĄD LWOWSKI. (*Prezentując się*).

Przegląd Lwowski — Rzymu chluba
Moderantów wałę w pień.

OSNOWA. (*Dygając*) Ja Osnowa dziuba — luba
Krasnyj Laszku dobryj deń

SZCZUTEK. A ja Szczutek cięty chłopiec
Bo im szczutki palę w nos.

INNE DZIENNIKI. Strzeż się bo ci gotów dopiec
Jeśli urwisz wpadnie w sztos

CHÓR. (*Do cisnącego się djabła*).

Precz z tąd! a idźże ztąd!

CZAS. Ot paplą jak najęci
I we łbach im się kręci

Poznajże przecie pan i nas }
 To Przegląd polski a ja Czas } bis

DJABEŁ (*chce śpiewać, ale go odpychają*).

CHÓR. Coś złego tu się święci
 Po co on tu się kręci,
 Jak Piłat w Credo tutaj wlaźł }
 Oszczekać gotów jeszcze nas. } bis.

WARSZAWIAK (*po śpiewie*) Bardzo mi przyjemnie poznać szanowne dziennikarstwo lecz pragnąłbym także być przedstawionym pani domu.

NARODÓWKA. Pani jeszcze nie ubrana. (*Ze spuszczonej oczyma skromnie*). Kąpie się.

CZAS (*przerzywa*). Bo się uczerniła bawiąc się z wami.

NARODÓWKA (*do Czasu*). Kalchas stul gębę! (*Do Warszawiaka*). Mnie poleciła przyjmować gości i robić honory domu. Bo ja panie jestem jej piastunka, niemal matka. Wychowałam to, wychuchałam, wykształciłam.

CZAS. To fałsz!

NARODÓWKA. Vocourtois! Cicho! (*Do Warszawiaka*) A teraz jestem jej powiernicą — przyjaciółką — Ochmistrynią jej dworu.

CZAS. A już dłużej nie wytrzymam. To wszystko fałsz! Ja to jestem jej mentorem, pedagogiem, ojcem opinii publicznej. Wszyscy ci (*wskazuje na dzienniki*) są moje dzieci, prawda wyrodne, ale moje. Żadnego z nich nie było kiedyś ja był i żadnego już nie będzie kiedy ja będę. Wszystkie przeminą i jako rosa zwietrzeją, ale ja będę, będę, będę! bom Czas!

WARSZAWIAK. Wierzę! wierzę — ale mimo to radbym być przedstawionym Opinii publicznej — poznać ją.

NARODÓWKA. (*zakłopotana*). Prawdziwie — nie wiem.. bo pani jest trochę cierpiąca... nie będzie mogła przyjąć. (*Do Kraju*) Co tu robić.

KRAJ. (*Cicho do Narodówki*). Pokazać jej nie można — oćnij go — obełgaj — ty to najlepiej umiesz.

TWARDOWSKI. (*Do Warszawiaka*). Uważasz jacy zmieszani kiedy o niej mowa.

WARSZAWIAK. Ależ z jakiego powodu?

TWARDOWSKI. Bo ci jej nie chcą pokazać w stanie w którym ją utrzymują. Ale poczekaj. Spirantus hocus. *(Za kulisami słyhać płacz dziecka).*

WARSZAWIAK. A to co?

OSNOWA. Ach to nasza hołubka *(wybiega).*

NARODÓWKA. *(Na stronie).* Przeklęty bęben, dam ja ci...

TWARDOWSKI. A cóż to za niemowle tak wrzeszczy?

NARODÓWKA. *(do Kraju).* Masz tobie — obudziło się i wrzeszczy — co tu robić.

KRAJ. Uśpić, ugłaskać, wybić, ale niech będzie cicho i niech się tu nie pokazuje. Idź mamko — śpiesz się.

(Dziecko ciągle krzyczy).

TWARDOWSKI. *(Zastępując drogę Narodowce chcąc iść do pokoju z którego słyhać płacz).* Za pozwoleniem — ja sam pojdę *(idzie i wraca z dzieckiem w poduszeczce).* Co to jest? co to za dziecko? *(Milczenie).*

PRZEGLĄD POLSKI. To jest pani domu — Opinia publiczna.

NARODÓWKA. Tak to nasza wychowanka, nasze oczko w głowie, nasza pieszczotka, nasz aniołek *(biegnie do dziecka chce je ukotysać i śpiewa).* Lulajże mi lulaj, siwe oczki stulaj. *(mówi)* Daj buzi swojej niani aniołeczku *(chce wziąć dziecko Twardowski nie daje).*

TWARDOWSKI. *(Odwracając się do dzienników).* To tak! w takim stanie iest ona pod waszą opieką — Czyż nie powinna była dotąd wyrosnąć — stać o swojej mocy, być dorosłą nie dzieckiem. A więc tak ją wychowaliście.

SZCZUTEK. To trudno, ma od urodzenia angielską chorobę i wodę w głowie, więc ani chodzić ani myśleć nie może.

TWARDOWSKI. *(Do dziecka).* A ty, tyś sama winna. Gdybyś chciała, gdybyś mniej słuchała swoich nieproszonych opiekunów, mogłabyś wydobyć ręce, rozwiązać się z powi- jaków i stanąć raz o swojej mocy do stu piononów. Radzę ci więc, otrząśnij się, zrzuć jarzmo i stań się niepodległą bo inaczej zostaniesz niedołągą na zawsze.

(Dziecko zaczyna beczeć, dzienniki stoją zawstydzone, zastona spada).

KONIEC OBRAZU.

O B R A Z.

RADA POWIATOWA.

Teatr przedstawia duży pokój, na przodzie wspaniałe biuro prezesa stojące po prawej stronie na dywanie, przed niem ogromny fotel. Na stole chaos papierów spiętrzonych, — w głębi po lewej stronie biurko skromne sekretarza; szafy z papierami, kanapa, stół foteliki.

SCENA 1.

PAN AUGUST, WARSZAWIAK, PAN BONIFACY, SEKRETARZ. Na kanapie WARSZAWIAK. PAN BONIFACY i PAN AUGUST siedzą na fotelach.

WARSZAWIAK. Nie rozumiem was panowie czego jeszcze więcej żądacie. Mając rady powiatowe w ręku macie wszystko. Jest to ziarno, które pielęgnowane troskliwie zrodzi wam samorząd. Przecież i my za rządów margrabiego mieliśmy rady powiatowe w Królestwie, a lubo nieszczęściem krótko istniały, przekonaliśmy się jaka to w rękach energicznych i rozumnych potęga.

PAN AUGUST. Jak pan możesz stawiać nam za przykład Królestwo. Co Królestwo to nie Galicya. Tam macie ludzi i to ludzi nawykłych do życia politycznego; wychowañców Warszawskiego Księstwa i Królestwa Kongresowego, mieliście sejmy, wojsko, a my co? wszak do roku 1848 nie mieliśmy wyobrażenia o życiu politycznem.

WARSZAWIAK. Ależ od roku czterdziestego ósmego ćwierć wieku upłynęło, dwadzieścia pięć lat politykujecie.

PAN AUGUST. Dwadzieścia pięć lat chaosu. Dziś konstytucya, jutro reakcya, wczoraj stan obłączenia, jutro swobody do obrzydliwości, z których korzystać nie umiemy. Ot i teraz niesforności po same uszy, każdy robi co mu się podoba, a

nikt słuchać niechce. Żebyś się zapracował, zaharował, zameczył, zamordował, zaprzepścił, nie tylko że nic nie zrobisz, ale jeszcze i zdrowie i majątek i reputację stracisz.

PAN BONIFACY. Ech, co tam równać Galicyę do Królestwa, wy tam macie pieniędzy ogrom, a my tu dziady, biedaki, charłaki, co nam po autonomii kiedy w kieszeni pustki.

WARSZAWIAK. Ależ na miłość boską, przecież macie olbrzymie bogactwa w samej już ziemi, kraj urodzajny, wodnisty, lesisty. Sól, węgiel, naftę, siarkę, koleje żelazne, banki, stowarzyszenia.

PAN AUGUST. Ech to dobra rzecz dla Niemców, Żydów i spekulantów. Gdzie my do tego. Nas każdy wyexploatuje i okpi. My z tego nic nie mamy ale brniemy w długi.

PAN BONIFACY. A te przekłete banki, to oczywista nasza zguba, ciągną nas jak pijawki, pożyczają i odbierają, djabł ich o to prosi.

PAN AUGUST. Weź pan do tego podatki, cuszlagi, a dodatki krajowe i gminne, które na nas nakłada Wydział Krajowy i Rady powiatowe, to trzeba oszaleć.

WARSZAWIAK. Przecież sami jesteście członkami Rady powiatowej.

PAN BONIFACY. A jestem jestem, na moje nieszczęście, bo jeszczeby tego brakowało żeby mnie nie obrali, ale za to na sesjach nie bywam, bo niechęć ręki do złego przykładac, i dziś niebyłbym przyjechał, gdyby nie wybór prezesa.

PAN AUGUST. I ja to samo, bo rada powiatowa jestto najniedoleźniejsza instytucja na kuli ziemskiej. Wszystkiego od niej wymagają, a egzekutywy żadnej. Wszyscy ją wyśmiewają, nikt nie słucha, a władze polityczne za boki się trzymają od śmiechu ile razy palniemy jakie *absurdum*.

WARSZAWIAK. A czemuż nie staracie się tak postawić, żeby was szanowano i słuchano.

PAN BONIFACY. Nie nasza na to głowa. (*Ciszej*). Ot żebyśmy mieli innego prezesa.

PAN AUGUST. Pst! (*Ciszej*) Sekretarz.

PAN BONIFACY. (*Cicho*). Ach prawda, ale ja go wnet wyekspeduję. (*Do Sekretarza*). Panie Sekretarzu. (*Sekretarz podchodzi*). Proszę cię idź do zajazdu i zobacz czy mój Woj-

tek nie odlażł koni, bo to łajdak jakich mało, jeszcze kto co ukradnie.

PAN AUGUST. A mnie z łaski swojej kup cygar krajcarowych i stępel za 50 krajcarów (*Daje mu pieniądze, Sekretarz odchodzi*).

WARSZAWIAK. A to widzę u was sekretarz wyręcza woźnego.

PAN AUGUST. Ba 800 guldenów ma pensyi, jabym za to sześciu ekonomów utrzymał, a z resztą to kreatura naszego prezesa.

PAN BONIFACY. Wywłókl go djabli wiedzą zkąd. Oj mamy my prezesa.

PAN AUGUST. Masło maślane!

PAN BONIFACY. Niedolega!

PAN AUGUST. Głowa zakuta!

PAN BONIFACY. A nadęty jak pęcherz, że akademię kończył. Djabli nam po uczonych prezesach... wszystkoby szło inaczej gdybyśmy mieli innego ot na przykład. (*Do pana Augusta*). Kochanego sąsiada.

PAN AUGUST. Zbytek łaski łaskawego sąsiada, alboż ja mam zdolności, gdyby tak sąsiad chciał przyjąć, pierwszy dałbym moją kreskę. (*Do siebie*). Wiem że sam czychasz na prezesostwo, ale nic z tego.

PAN BONIFACY. Djabli mi tam po prezesostwie (*Do siebie*). Dałby mi kreskę, a szyje buty, przekłety hipokryta. (*Miarkując się*) Bóg wam zapłać panie Augustcie, ale ja do tego nie zdolny, tylko sąsiad łaskaw, zawsze mię proteguje.

PAN AUGUST. Kochany panie Bonifacy (*Całują się serdecznie*). Przyjmiecie! Przyjmiecie!

PAN BONIFACY. Za nic w świecie. Was obierzemy, potrafimy was zmusić sąsiadeczku.

WARSZAWIAK. Więc terazniejszy prezes składa urządowanie?

PAN AUGUST. Już złożył. Właśnie zjechaliśmy się na nowe wybory.

PAN BONIFACY. Jedyna to rzecz dobra jaką zrobił przez cały czas swojego urządowania.

PAN AUGUST. Bałwan do niczego, Człowiek.... (*Spo-*

strzeżę wchodzącego Paflagoniusza), jedyny w powiecie.... najtęszsza głowa.

WARSZAWIAK. (Z największem zadziwieniem) Jaktó? co? wszak dopiero pan mówiłeś...

SCENA II.

DAWNI I PAFLAGONIUSZ.

PAN AUGUST. Że to brylant wszystkich prezesów powiatowych i jesteśmy w rozpacz, że złożył urząd (*Niby dopiero teraz spostrzegając Paflagoniusza*). Ach kochanemu prezesowi! pozwól przedstawić sobie rodaka z Kongresówki, który umyślnie zatrzymał się w naszym miasteczku, ażeby przypatrzeć się naszym rządóm autonomicznym.

PAFLAGONIUSZ. Nie zbudujesz się z nich pan bardzo, chęci dobre są, ale przez półtrzecia roku nic zrobić niemogłem i dopiero teraz odetchnę swobodniej gdy urząd złożę.

PAN BONIFACY. Krzywdę robisz sąsiad nie tylko powiatowi, ale całemu krajowi. Nabyłeś wprawy, poznałeś interesy i ludzi.

PAFLAGONIUSZ. A znam ich i dla tego dziękuję za służbę.

PAN AUGUST. Gdzież znajdziemy takiego drugiego prezesa.

PAN BONIFACY. Kogo tu teraz wybrać? gdybyś się pozwolił obrać na nowo.

PAFLAGONIUSZ. Upadam do nóg... żebyście mi tak pomagali jak dotąd... żeby żaden nie zrobił tego co mu się poleci, żeby w dzień sesji ten pojechał na jarmark, ów na imieniny, tamten na polowanie. Ot zastępowałeś mię panie Bonifacy przez pięć tygodni, gdym był w Karlsbadzie. Ledwie że wpadłeś raz na tydzień do kancelaryi. A potem latałeś po wszystkich sąsiadach, wyrzekając przed całym światem że nieład, że nieporządek, że urzędnicy nic nie robią, że wszystko na twojej głowie, a mimo tych hałasów robota na krok nie postąpiła i wszystkie sprawy zaległy.

PAN BONIFACY. Alboż wice-prezes jest na to żeby sam robił referaty? a przecież robiłem co mogłem.

PAFLAGONIUSZ. Ślicznie robiłeś, no nie mówmy o tem. A ty panie Augustcie czyż przez te trzy lata, czy aby trzy razy byłeś na sesyi?

PAN AUGUST. Przecież mi za to nie płacą, żebym pracował jak koń żydowski.

PAFLAGONIUSZ. I chcecie żebym został? nie głupim!

PAN AUGUST. Ha, kiedy żadnym sposobem nie chcesz.

PAN BONIFACY. Kiedyś się uparł.

PAN AUGUST. To powiedźże przynajmniej kogo mamy wybierać.

PAN BONIFACY. Powiedz kogo będziesz popierał. (*Cicho do Paflagoniusza*). Przecież nie tego furfanta Augusta, który nigdy na sesyach nie bywa.

PAN AUGUST. (*Cicho do Paflagoniusza*). Juźcić nie tego niedołęgę Bonifacego, który cię tak pięknie zastępował.

WARSZAWIAK. Ale cóż pana skłania żebyś porzucił urząd kiedy wszyscy nalegają abyś pozostał nadal? niepojmuję, nierozumiem.

PAFLAGONIUSZ. Nierozumiesz, zaraz się wytłomaczę:

S P I E W.

I. (*Życie paryskie*) N. 10. (*Pan Major*).

To sztuka wszystkim służyć w skok
 I w domu nie być cały rok.
 Nie ruszyć z bióra się za próg,
 I trudnić się naprawą dróg.
 Ledwieś tu gnał, a już tu leć,
 Tu robocizny nie dał kmieć,
 Tam drzewa odmawia dwór,
 Z każdym sie kłóć, z każdym wiedź spór.

Jestem pan prezes,
 Jestem pan prezes,
 Gdzie duże kłopoty,
 Kdzie dużo roboty,
 Prezes musi być,
 Czyż to warto żyć.

II.

Sto paragrafów ustaw znaj,
 Tu o porządki w mieście dbaj,
 I wojnę wiedz o każdy kram,
 Tu ospę masz, księgosusz tam,
 Pilnuj jaskółek, wróbli, sów.
 Proteguj dziennik ten i ów.
 A Pierwszy lepszy wisus, zbieg,
 Oszczeka cię żeś zdrajca szpieg!

Jestem pan prezes,
 Jestem pan prezes,
 Gdzie duże kłopoty,
 Gdzie dużo roboty,
 Prezes musi być,
 Czyż to warto żyć.

SCENA 3.

DAWNI i SEKRETARZ z papierami.

PAFLAGONIUSZ. Jest!... a cóż tam znowu?

SEKRETARZ. Kilka kawałków do załatwienia.

PAFLAGONIUSZ. Daj mi pan pokój — Złożyłem mandat i nie jestem już prezesem.

SEKRETARZ. Dopóki nowego nie ma, to pan prezes zawsze jest prezesem.

PAFLAGONIUSZ. Przepraszam — według paragrafu 27 ustawy o radach powiatowych, gdy prezes z jakiegokolwiek przyczyny przestaje funkcyonować, zastępuje go wice-prezes. Udaj się pan do pana Bonifacego.

PAN. BONIFACY. A niechże Bóg broni — sąsiad żyjesz, znasz manipulację, więc możesz załatwiać — ja za żadne skarby świata nie poważę się (*bierze za kapelusze*). Natychmiast odjadę.

SEKRETARZ. A to są bardzo pilne kawałki.

PAFLAGONIUSZ. A no cóż tam — dawaj pan (*odbiera papiery*).

SEKRETARZ. Ekspedycya od Wydziału krajowego.

PALFAGONIUSZ (*czyta*). „Zakazuje się wydziałowi powiatowemu w“ (*czyta niewyraźnie*). „ażeby naprawy mostu na drodze krajowej capowicko-barańskiej przed dotyczącą licytacją przedsiębrać nie ważył się.

SEKRETARZ (*podając drugi papier*). A tu urgens od naszego starostwa, żeby ten sam most w czterdziestu ośmiu godzinach naprawić.

PAFLAGONIUSZ. A to urwanie głowy. Ci każą, tamci zakazują (*czyta dalej*). „Aby dotyczące gminy zmusić do naprawy“ (*mówi*). Ależ przecie żądaliśmy egzekucyi.

SEKRETARZ. Starostwo napisało, że egzekucyi nie da. (*podaje papier*). Jestto jeszcze jeden urgens od Wydziału krajowego, żeby mu zwrócić koszta utrzymania tego mostu.

PAFLAGONIUSZ. Co? co? przecież to ich most!

SEKRETARZ. Ale był postawionym przed uznaniem tej drogi za krajową — więc nie śmie fundusz krajowy obciążać — a to co wydział wydał przez te cztery lata uważać się ma jako pożyczka. Więc wysoki wydział poleca pod surową odpowiedzialnością pożyczkę dotyczącą z dotyczącemi procentami zwrócić.

PAFLAGONIUSZ. A tego już za wiele (*pada na krzesło*).

SCENA 4.

DAWNI i PANI DRAŹKIEWICZOWA (z orszakami). Wpada do sali, z nią GUWERNANTKA — dwie córki — wszystkie ubrane po podróznemu z torbami i tobołkami — trzecią córkę zemdloną wnosi fernal i dziewczka.

DRAŹKIEWICZOWA. Gdzie on jest — gdzie jest za-
bójca mojego dziecka?

WSZYSCY (*poprzednio będący na scenie*) Jezus Marya?
cóż się stało?

DRAŹKIEWICZOWA. (*ciągnie Paflagoniusza do zemdłonej córki*). Patrz, napaś oczy okropnym widokiem zamordowanej mojej najdroższej Milci (*zaczyna głośno płakać*).

PAFLAGONIUSZ. Przezemnie zamordowanej? W imię Ojca i Syna?!

DRAŹKIEWICZOWA (*przystając nagle płakać*). Nie żegnaj się obłudniku... boś ty winien ty! ty!

SEKRETARZ. Ależ zastanów się pani, że jesteś w urzędzie.

DRAŹKIEWICZOWA. Chyba w jaskini zbójców!!

PAFLAGONIUSZ. Mówcież na Boga, co się stało?

FORNAL (*kłaniając się do nóg Paflagoniuszowi*). Ej nic proszę jaśnie pana — jeno się pod Capowicami most zawalił pod koźmi i panienkę zabiło.

DRAŹKIEWICZOWA. Ot wasze rządy niedołęzne, słamazarne. Od dwóch lat wszyscy wołali, żeby ten most naprawić.

PAFLAGONIUSZ. Ależ wydział krajowy.

DRAŹKIEWICZOWA. Co mi tam wydział krajowy, dwa lata objeżdżaliśmy most w brod przez potoczek, dziś pierwszy raz kazałam pojechać przez most, bo nie był zastawiony kobylicami i takie nieszczęście! (*biega co chwila do córki*). O moja Milciu! moja Milciu. Bodajby wasza cała rada załamała się z mostem.

FORNAL. Dyćbym jesse zatrzymał tę bestyę podsobnią, ale kiej mię fajtnęła bez kozoł prościusienko na łeb do wody.

DRAŹKIEWICZOWA (*z płaczem*). O ja nieszczęśliwa! o ja sierota! (*ze złością*). Ale poczekajcie, całą radę zaskarżę do sądu i do kryminału wpakuje.

FORNAL. Proszę jaśnie pani, panienka żyje, bo ozwarła ocy.

DRAŹKIEWICZOWA (*biegnie do niej*). Żyje! żyje... Mój aniołek... moja śliczna — mów, mów! ożyj duszyczko, a pozwolę ci iść za pana Panfila.

MILCIA (*siada*). Trzymam mamuńcie za słowo... mnie nic nie jest, tylko się trochę złęknęłam i będę żyć, ale mamunia pozwoli iść za pana Panfila.

DRAŹKIEWICZOWA. Ot wyrwałam się z głupstwem a to wszystko przez tę przekłątą radę powiatową. Pamiętajcie

sobie, że jeżeli Miluńcia pójdzie za tego pędziwiatra, to tylko przez was, przez wasze rządy. A teraz chodźcie do sądu — Melanka nie poprawiaj kapelusza — niech się sąd przekona, jak oni utrzymują mosty. Bodaj tę radę jasne pioruny zatrasały! (*wychodzi z całą czeredą*).

SCENA 5.

POZOSTALI, potem kilka CHŁOPÓW.

PAFLAGONIUSZ. I wy chcecie żebym pozostał nadal — a niechajże mię Pan Bóg od tego nieszczęścia ochroni!

WARSZAWIAK. Prawda, że masz pan wielkie trudności, połączone z nieprzyjemnościami; ale właśnie w tem sztuka, żeby je pokonać, żeby raz ład i porządek zaprowadzić, bo jak wszyscy ręce opuścicie, to wszystko upadnie. Powinniście starać się, ażeby do rad wchodzili ludzie sprężyści, energiczni i rozumni, którzyby dorozumieli do potrzeb kraju.

PAFLAGONIUSZ. Ba, czegożby więcej trzeba było, ale czy pan myślisz, że się to da przeprowadzić przy naszej parafiańszczyźnie — alboż to u nas mają wyobrażenie o autonomii, alboż to jest poczucie obowiązków obywatelskich: jedni cisną się do rady dla nasycenia swojej głupiej ambicyi, a im który ma mniej uzdolnienia tem bardziej się narzuca — drugi dla widoków, dla przeprowadzenia drogi przez swój majątek, a wszyscy robią sobie partye, partyjki, gdy zaś który zostanie wybranym, myśli że już wszystko zrobił co do niego należało, nie bywa na sesyach, niedba o nic i jeszcze szkaluje tych, co za niego pracują. I pan chcesz, żebym został? za nic w świecie! za nic (*kilku chłopów wchodzi, stają przy drzwiach i kłania się. Spozstrzegając ich*). A wy czego chcecie.

CHŁOP. A to proszę piknie jaśnie prezesa, myśwa tu przysli skróć onych pieniędzy za te zagony co je pode drogę zabrał wielmożny lezynier powiatowy.

PAFLAGONIUSZ. Nie mogę wam wypłacić, bo mi jeszcze z wydziału krajowego nie przysłali.

CHŁOP. Przepraszam pokornie najjaśniejszego wydziału krajowego, kiej się też nam sprawiedliwie należy.

PAFLAGONIUSZ. Ja wiem że się wam należy, ale cóż ja winien. Piszę i piszę co tydzień, ale nic nie przysyłają.

CHŁOP. O mój Jezu miłosierny, co się też to cłek musi nachodzić, namarnować, namitrużyć za swoją pracą, a nic skórać nie może. Dyć do już półtora roku, jak ano łąziemy po próżnicy, a tu nijakiej rady.

WARSZAWIAK, O co im chodzi?

SEKRETARZ. Zabrali im po kilka zagonów na drogę krajową w drodze ekspropyacji i nie mogą odebrać.

CHŁOP. Oj nastałyć zaży, nastały — panowie prawili że będzie lepiej — kaj ta lepiej, panowie jezdźom do powiatu, to do Lwowa, to do Wiednia; gadajom i gadajom, a z tego gadania nijakiego pozytku, a ty chłopie jeno płac i płac, a jak ci przyjdzie co odebrać, to se nogi ułazis, a nie mozes się doprosić tych kilka kiepskich papierków.

PAFLAGONIUSZ. Bądźcież cierpliwi moi ludzie jeszcze ten tydzień, a jak po niedzieli nie przysła, to wam z mojego zapłacę (*do Warszawiaka*). Zapłacę, bo nie wytrzymam już dłużej tych narzekań.

CHŁOP (*catując go w rękę kłania się*). Panie Boże zapłać jaśnie przesowi za dobre serce. Niech będzie pochwalony Jesus Chrystus (*klaniają się i wychodzą*).

SCENA 6.

DAWNI i WOJT z pasem rzemiennym przez piersi i mosiężnym herbem.

PAFLAGONIUSZ. Co chwila nowy kłopot (*sposzrzegając wójta*). Cóż mi tam powiecie wójcie? znowu jakaś historia!

WÓJT. A to proszę jaśnie pana już wiemy kto ukradł konie w Pustkowicach.

PAFLAGONIUSZ. A chwałaż Boże. No któż to taki?

WÓJT. A któżby kiej nie ten porwiś Walek od Kubarczyka, co go na wiosnę puścili z kryminału.

PAFLAGONIUSZ. I pewnie uciekł?

WÓJT. Kajby zaś uciekał siedzi se prześpiecnie w chałupsku u ojca.

PAFLAGONIUSZ. Aresztować go natychmiast: do sądu odstawić.

WÓJT. A niechże mię ręka Boska broni, abo ja chcę?

WARSZAWIAK. Jakto wójt nie chce aresztować złodzieja we wsi — tego nie rozumiem, u nas w Królestwie.

WÓJT. Abo ja chcę, żeby mię bestya spaliła.

WARSZAWIAK. Nie bójcie się tego — wie dobrze, żeby go skazali na kilkanaście lat kryminału (*sekretarz wychodzi*),

WÓJT. Oj wielgie rzeczy — aby on se to krzywduje w kryminale, posiedzi ze trzy kwartały w jankwizycie, przeziemuje se, nażre się, wyśpi, nie robi, potem się wycygani ze nie on ukradł koni, a jak go prześwietny sąd puści, to mię bez złość spali — niech se go ta chyta kto chce, byle nie ja — przysedłem tez do prześwietnego wydziałowego powiatu, żeby posłał po ziandarów, ale mnie nie przedradził jako ja dał znać.

PAFLAGONIUSZ. No idźcie, idźcie, zrobi się to — dam znać do sądu — niech oni nakazą aresztowanie.

WÓJT. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus (*kłania się prezesowi i odchodzi*).

PAFLAGONIUSZ. Dziękł Bogu że się to już kończy.

SEKRETARZ (*wchodząc*). Proszę pana prezesa do sali. Wyborecy się niecierpliwą. Już jedynasta wybiła.

PAFLAGONIUSZ (*do Warszawiaka*). Napatrzyłeś się pan kłopotom — pójdzże przypatrzeć się przez chwilkę wyborom — proszę (*wyprowadza go na prawo do Augusta i Bonifacego*). Proszę sąsiadów! (*wychodzi z Warszawiakiem. August i Bonifacy idą za nimi; jednak ten ostatni wraca się ode drzwi*).

SCENA 7.

PAN BONIFACY, SEKRETARZ.

PAN BONIFACY (*zatrzymując idącego do sali sekretarza*). Słówek kochany sekretarzu!

SEKRETARZ. Nie mogą służyć, bo tam jestem potrzebny.

PAN BONIFACY. Chciałem tylko zapytać czyś pan był w karczmie, jak panu poleciłem?

SEKRETARZ. Posłałem pachółka i jak wróci to panu dobrodziejowi opowie...

PAN BONIFACY. (*do siebie*). Posłał pachółka... jaki wielki pan, sam nie mógł iść, ale do czasu trzeba z nim dobrze, bo każdy ma swoją politykę (*widząc sekretarza idącego ku drzwiom*). Panie sekretarzu... wiesz że mam szansę być wybranym na prezesa rady... ale nic nie zaszkodzi szepnąć za mną tu i owdzie słówko (*bierze go pod pachę i prowadzi naprzód sceny*), a jak mię zatwierdzą, to ci wyrobie dodatek na drożyznę.

SEKRETARZ. Z największą chęcią, ale teraz przepraszam, bo mnie wołają (*odchodzi do sali*).

SCENA 8.

PAN BONIFACY, później MORDKO.

PAN BONIFACY. Błazen... jak się to dmie... gryziórek, chciałby być za pan brat z nami, wieprzek z pastuchą, a zapomina, że jest sługą, któremu się płaci... ale poczekaj niech tylko zostanę prezesem, wylecisz jak z procy... (*idzie do okna*). A! Mordko tu idzie w sam czas (*woła oknem*). Mordko! Mordko! to szelma żyd sprytny — on mnie wykieruje na prezesa.

MORDKO (*wsuwa głowę przez drzwi*). (Czy tu nie ma nikiemu.

PAN BONIFACY. Nikogo... nie bój się (*Mordko podchodzi*). A cóż, jakże tam?

MORDKO. Wszystkie dobrze. Tych chłopów to sprowadzałem przed sklep korzienny i zapłaciłem za całe beczkę piwo i dawałem im pić, żeby za te piwo za jaśnie panem głosowali... Aj waj — wsistkie będą krzykali za jaśnie panem, Nu i naszich żidków też... ale ja będę dostać arendę tego mito przy most wedle Baraniej-Woli.

PAN BONIFACY. Co ci raz obiecałem, to dotrzymam, tylko pamiętaj jak mię obiorą, żeby dobrze krzyczeli wiwat... żeby zaraz całe miasto dowiedziało się, że ja jest wybranym.

MORDKO. Niech jaśnie pan tylko krziknie przez te okno (*wskazuje na okno po prawej*). To my będziemy wsistkie krzicać tylko trzeba otworzyć (*otwiera*). O widzi jaśnie pan. Już tam stoją, całe kupe. I te wsistkie wójty będą dawać głosowanie jaśnie panu, ale kiedy ja mam przyjechać po te 10 korcy grochu?

PAN BONIFACY. Jutro...

MORDKO. Ja jutro nie będę mieć czasu. Niech jaśnie pan dziś napisze kwitek do ekonoma, to ja będę zaraz posłać Josła z kuniami.

PAN BONIFACY (*wydziera kartkę z pugilaresu i pisze*). Ale pamiętaj łajdaku jak mię nie obiorą, to ci ten groch bokiem wylezie.

MORDKO. Na co ma wiłazić, kiedy jaśnie pan zostanie prezesem (*odbiera kwitek*). Już ja tak naprawiłem — kłaniam jaśnie pana (*odchodzi*).

PAN BONIFACY (*zacierą ręce*). Kiedy on mnie zapewnia, to już tak jakbym był obrany (*patrzy przez okno*) Pełny rynek chłopów i żydów, a wszyscy tutaj patrzą. August pęknie ze złości. Proszę temu drabowi zachciało się zostać prezesem. Ja to co innego: Jestem delegatem Towarzystwa ogniowego, członkiem Towarzystwa sztuk pięknych, a byłem nawet raz sędzią na wystawie rolniczej, to mam potrzebne kwalifikacye na prezesa, Och gdybym raz nim został, wszystko poszłoby inaczej nietylko w powiecie, ale w całej Galicyi, osobliwie w moich dobrach.

Śpiew (Życie paryskie Ner 5).

Gdy już zostanę raz prezesem,
 Będę powiatem całym trząść,
 Każdy przychodzi z interesem,
 Każdego mogę za łeb wziąć.
 Sąsiadów pełen mój dziedziniec,
 Czapkuje każdy zdala mi,
 Wnet przez wieś moją tnę gościniec,
 I stawiam na nim karczmy trzy.
 Muszę do rady wraz wszrubować się,
 Ja muszę aż tam, aż tam wszrubować się,
 Poświęcić ziomkom siły me.
 Ja muszę aż tam, aż tam wszrubować się!

II.

Nie dosyć na tem, bo z prezesa,
 Do sejmu ław już jeden krok,
 A tożbym osłem był do biesa,
 Gdybym tam niewlazł choć za rok.
 Ztąd do Wydziału blisko mamy,
 A więc kraj biorę w ręce me,
 Więc szkoły, drogi, mosty, tamy,
 Wszystko w mym ręku... che, che, che,
 Muszę do sejmu wraz wszrubować się,
 Muszę aż tam, aż tam wszrubować się:
 Poświęcić ziomkom siły me;
 Ja muszę aż tam, aż tam wszrubować się!

III.

Z sejmu wnet przejdę do rajsratu,
 Dziwi się woła cały kraj,
 „Bonuś delegat daj go katu!
 „Co to za rozum aj! aj! aj!“
 A zem nie głupi — główka bystra

Wiem jak se radzić *Gott sei Dank!*
 Więc koncesyjkę u ministra:
 Złapię na kolej, lub na bank.
 Muszę do Wiednia wraz wszrubować się,
 Muszę aż tam, aż tam wszrubować się
 Poświęcić ziomkom siły me,
 Ja muszę aż tam, aż tam wszrubować się.

(*Po śpiewie wchodzi do sali wyborczej i w progu spotyka pana Augusta.*)

A cóż tam sąsiadeczku, któż ma szansę?

PAN AUGUST. Dopiero zaczynają głosować, ale postawiłbym setkę przeciw dziesiątce, że sąsiad będziesz nam przeydował.

PAN BONIFACY. A niechże mię Bóg i Najświętsza Matka broni. — Muszę lecieć, ażeby temu zapobiedz.

SCENA 9.

PAN AUGUST sam (*oglądając za nim*). O hipokryta! leci kaptować tych ciemiągów, żeby za nim głosowali, a mnie tumani. Znam ja ciebie, ty łbie barani, co ci się zachciwa, ale zjesz trzysta djabłów, jeżeli przejdiesz. Trzeba teraz o sobie pomyśleć (*wydobywa papier z kieszeni*). Muszę jeszcze raz przeczytać moją mowę dziękczynną, żeby broń Boże czego nie zapomnieć (*czyta*). Panowie (*mówi*). Czy nie lepiej byłoby szanowni współobywatele... nie, nie, lepiej panowie, bo tam między niemi jest dosyć łyków miejskich i chamów (*czyta*) „panowie! Ufność, którą raczyliście mnie zaszczyścić“ (*mówi*). To umiem..! dalej (*czyta*) „wiem jak ciężkie są obowiązki“ (*mówi*). I to umiem (*czyta*). „Niechaj zachwiana równowaga i zachwiana harmonia pomiędzy dziećmi jednej matki“ (*mówi*). Tu dopiero będą oklaski — Bonifacego szlag trafi z zazdrości.

SCENA 10.

PAN BONIFACY, PAN AUGUST, WARSZAWIAK i kilku SZLACHTY.

PAN BONIFACY (*który podczas monologu Augusta, zaglądał przez drzwi, przyzywa skinieniem Warszawiaka i szlachtę i mówi do nich cicho*). Słuchajcie jak się uczy na pamięć mowy dziękującej za wybór. Oto zarozumialec. Oto intrygant!

PAN AUGUST (*nie widząc ich czyta z coraz z większym zapamiętaniem*). „Wiedziałem, że mię kochacie, ale wybór wasz tak niespodziewanie mnie zaskoczył, nie umiem nawet dobrać słów stosownych do podziękowania wam, za ten zaszczyt, za to uznanie, za to...

WSZYSCY (*śmiejąc się*) Cha! cha! cha!

PAN BONIFACY Brawo! brawo! Panie Auguście, nie trzeba nigdy być nieprzytomnym.

PAN AUGUST (*przerażony*) Co to znaczy? nie rozumiem.

PAN BONIFACY. To znaczy że się pan uczysz na pamięć mowy, którą będziesz dziękował za swój wybór jako nowy prezes (*do szlachty*). Widzicie panowie jak jest pewny swoich zabiegów i kabał, kiedy już sobie z góry napisał mowę dziękczynną.

PIERWSZY SZLACHCIC. A cóżto pan myślisz, że już nasze głosy masz w kieszeni? że już jesteś prezesem?

DRUGI SZLACHCIC. Oto mielibyśmy prezesa! prostej mowy nie umie ułożyć z głowy, tylko musi jej uczyć się jak student na pamięć — tęga głowa.

PAN BONIFACY. A jak to śmiesznie wyglądało, jak się ustawił w pompacyjnej pozie, wymachiwał rękami kłaniając się ścianom i biórkom, wrzeszczał. (*naśladując Augusta*). „Wybór ten zaskoczył mnie tak niespodziewanie, że nie umiem nawet dobrać słów do podziękowania za ten zaszczyt“, niespodziewanie cha! cha! cha! niespodziewanie... a mowa już od tygodnia napisana — cha, cha, cha!

RESZTA SZLACHTY (*śmiejąc się*). Cha! cha! cha!

PAN BONIFACY. Musicie wszystkim wyborcom rozpowiedzieć (*do Warszawiaka*). Widzisz pan jak to u nas wybory idą — będziesz miał co rozpowiadać za powrotem do Warszawy. Dopiero się tam będą śmiali z takiego kandydata, luminarza powiatu cha, cha, cha!

RESZTA SZLACHTY (*śmiejąc się*). Cha! cha! cha!

PAN BONIFACY (*na stronie*). Przepadł jak ruda mysz z kretesem na wieki wieków, amen! (*głośno*). To szczęście dla całego powiatu, że ja mam taki nos, inaczej byłby się nam wszrubował na prezesa.

PIERWSZY SZLACHCIC. Wdzięczni jesteśmy kochanemu panu — uratowałeś nas — niech żyje pan Bonifacy! Wiwat!

RESZTA SZLACHTY (*krzyczy*). Niech żyje pan Bonifacy! Wiwat!

MNÓSTWO GŁOSÓW ZA OKNEM. Niech żyje prezes Bonifacy! Wiwat! Wiwat!

WARSZAWIAK. Co to jest?

PAN BONIFACY (*zmieszany na stronie*). A żeby ich wszyscy djabli wzięli (*biegnie do okna żeby je zamknąć a za jego ukazaniem się słycać nowe jeszcze głośniejsze okrzyki*),

GŁOSY ZA OKNEM. Niech żyje prezes Bonifacy! Wiwat!

SCENA 11.

DAWNI, MORDKO wpada zadyszany.

MORDKO (*do Bonifacego*). Winszujemy zdrowie, szczęście jaśnie wielmożnego prezesa. A co dobrze krzicali? Jak tyłkie ja sliszalem, że tu krzicają, tak wolam wiwat prezes Bonifacy! I mówię, do nich krziczajcie z całego gardła a głośne, to wam pan prezes jeszcze będzie dać piwo. I wszystkim żidki i chłopcy co ich namówiałem wołają: Wiwat! To więcej warte jak te dziesięć korców grochu, co mi jaśnie pan dawał, *niszt wahr?*

PAN AUGUST. Słyszecie panowie. Grochem i piwem kupował sobie głosy.

PAN BONIFACY (*do Mordka w największej złości*). Łżesz łajdaku! won! (*daje mu w kark*). Won ty kłamca! (*popycha go ku drzwiom*). Won cyganie!

MORDKO (*uciekając z krzykiem*). Aj waj! aj waj! aj waj! (*wybiega środkiem*).

PAN AUGUST. Przekonajcie się sąsiedzi, jak pan Bonifacy gorliwy obywatel. Piwem i grochem kupuje sobie głosy i jeszcze u kogo, u żydów i chłopów? Oto macie waszego zbawcę — pójdźmy do sali i opowiedzmy jak cały powiat skompromitował.

WARSZAWIAK (*załamuje ręce*). Co się dzieje! co się dzieje!

SZLACHTA. Pójdźmy! pójdźmy! (*idą ku drzwiom, w których spotykają Paflagoniusza*).

SCENA 12.

DAWNI i PAFLAGONIUSZ.

PAFLAGONIUSZ. Wybory skończone.

SZLACHTA. I któż został prezesem?

PAN AUGUST i PAN BONIFACY (*razem*). Czy ja?

PAFLAGONIUSZ. Ani jeden, ani drugi... ja niestety! Cóż miałem robić? wszyscy mi mówili, że jestem najmniej zły z was wszystkich... musiałem przyjąć i znowu wszystko pójdzie jak szło — zostanie jak było (*pada na krzesło — załona spada*).

KONIEC OBRAZU.

AKT IV.

Scena przedstawia salę sejmową: w ten sposób, że zastawiona ławkami w poprzek. Bióra i krzesła marszałkowskiego nie widać, trybuna tylko wystaje z pomiędzy kulis, w tylnej korytnie łoże, tak nisko aby z nich do ławek można było mówić.

SCENA 1.

Twardowski w ubraniu czarnoksiężnika wchodzi: muzyka gra ewokację duchów z Roberta Djabła.

Muzyka zmienia i zaczyna grać balet z Roberta. Wtedy z pod ławek wychodzą różne figury zupełnie zasłonięte, mianowicie: Adres, Gmina Zbiorowa, Odrębność Galicyjska, Federacya, Rezolucya, Opozycya, Delegacya, Szkoła, Propinacya, i td. śpiewają na tę samą nutę.

TWARDOWSKI. Uciszcie się duchy, wielkie zasady nie bijcie się jeszcze, kwestye miejcie cierpliwość, poczekajcie chwilę i idźcie się przygotować, abyście w swoim czasie godnie mogły wystąpić. (*Znika, kwestye odchodzą*).

FEDERACYA (*odchodząc*). Adresku! Adresku bądź za mną... proszę cię... ja cię tak kocham, jam przecie ła-dniejsza od tej paskudnej Odrębności.

ODRĘBNOŚĆ. Spodziewam się Adresie, że przez ten rok przybyło ci rozumu i że tym razem będziesz miał odwagę przyznać się otwarcie, że mnie jedną kochasz...

REZOLUCYA. Gdybyś mię zdradził, gdybyś się mnie wyparł... pamiętaj...

OPPOZYCYA. Adresie! Adresie nie słuchaj tych zdradliwych syren, bądź moim... ja opozycya mam w moim łonie takie ognie, takie żary, takie wulkany, że cię całego nimi rozpalę... (*wychodzą*),

(Ławki zaczynają się napelniać posłami, równocześnie w lo-ach okazuje się publiczność. W jednej Wołyniak z Malwiną

Warszawiak, Litwin, Poznańczyk. Poseł Bonawentura, Poseł Kurudzuki, Poseł Naprzekór, Doktor Mordobaba, Chaosiewicz etc.)

NAPRZEKÓR. Tak ja powiadam: uderzyć ostro na delegacyę, niech zda sprawę, niech powie, co tam robiła... potem Votum nieufności, złożenie mandatów.

BONAWENTURA. I ponowienie rezolucyi, całej panie dobrodzieju całej od A do Z — nic nie opuszczając... a to panie oni ją chcą zaprzepaścić... utopić...

KUKURUDZKI. Zaprzepaścić Rezolucyę! a to pięknie! Przecież pan Jąkażyło mówi, że Rezolucya to program panie, to sztandar, to palladium narodowości, to tarcza...

NAPRZEKÓR. Tymczasem kochany panie chcą ją zaprzepaścić, to rzecz pewna. Jest wielka intryga uknuta połączeniemi siłami wszystkich Mameluków, wszystkich Stańczyków, wszystkich Krakowiaków...

CHOASIEWICZ. Dla tego trzeba nam trzymać się razem. Dobrzeby było zawiązać klub solidarnych, ale dziś już na to czasu nie ma. Więc trzeba zrobić co można, zmusić delegacyę do złożenia mandatów...

KUKURUDZKI. Rany Pańskie! co pan mówisz! Złożenie mandatów! Pomyślże pan, że wtedy i pan Jąkażyło musiałyby złożyć mandat, a bez pana Jąkażyły...

NAPRZEKÓR. Świat by się przewrócił, to rzecz wiadoma. Ale tymczasem powiemy delegacyi, że nie miała najmniejszego zmysłu politycznego...

WSZYSCY. A tak — tak.

CHOASIEWICZ. Oczywiście Delegacya powinna była rozróżnić co dla niej miało być celem, a co środkiem. Celem oczywiście była Rezolucya...

WSZYSCY. Tak — tak.

CHAOSIEWICZ. Zatem powinna była Rezolucyę bronić i nic z niej nie ustąpić. Środkiem zaś były różne kombinacye w postępowaniu.

Dr. MORDOBABA. Środek jest tylko jeden na wszystko uniwersalny, a tym jest Opozycya...

CHAOSIEWICZ. Zatem dążąc przez środki do celu, delegacya powinna była połączyć się ściśle z opozycyą...

BONAWENTURA. Ma się rozumieć.

CHAOSIEWICZ. Być w porozumianiu ze stronnictwem rządowym.

KUKURUDZKI. Naturalnie.

CHAOSIEWICZ. I nie jedno z rezolucyi opuścić. Ale cóż ona tak jasnego programu nie mogła zrozumieć...

NAPRZEKÓR. Zwalić ją...

CHAOSIEWICZ. Potem nowe wybory.

NAPRZEKÓR. I nowa delegacya trzymająca się wier-
nie naszego programu, który tak jasno sformułował nam pan
Chaosiewicz. — Jakże panowie? czy jesteśmy w tem zgodni?

WSZYSCY. Zgodni! zgodni!

Dr. MORDOBABA. Zgodni, tylko na jedno nie zgoda.
Po zwaleniu delegacyi nie trzeba wybierać nowej, tylko od-
mówić wysłania do Rady państwa, abstencya i...

CHAOSIEWICZ. To szczegóły, to drobiazgi, o tem pó-
źniej, ale w zasadzie jesteśmy wszyscy zgodni i wiemy, czego
chcemy.

WSZYSCY. Tak — tak.

PAN FEDERACY. Za pozwoleniem. Ja w zasadzie
także się z panami zgadzam zupełnie, tylko zdaje mi się, że
Rezolucya nie jest celem, lecz środkiem, a celem jest Fede-
racya...

KUKURUDZKI. Co Federacya? co pan pleciesz? co nam
do tych wszystkich Czechów, Tyrolczyków, Ultramontanów...

BONAWENTURA. Czy to my Don Kieszoty? ta senty-
mentalna polityka nas zawsze gubi.

PAN FEDERACY. Pan widzę stajesz na stanowisku
Mameluków.

BONAWENTURA. Co ja? a to znowu.

NAPRZEKÓR. Powoli panowie, powoli; wierzcie mi pa-
nowie, że to czego żąda szanowny pan Federacy da się do-
skonałe pogodzić z programem naszego stronnictwa. Różnymi
się w szczegółach tylko, a w zasadzie jesteśmy zgodni...

CHAOSIEWICZ. I tego nam też potrzeba, stronnictwa
silnie zorganizowanego, na podstawie tych samych jasno okre-
ślonych zasad, a to już mamy...

WSZYSCY. Mamy, o mamy.

NAPRZEKÓR. Teraz trzeba nam pomyśleć o taktyce,

o sposobach postępowania, ale mówmy cicho, bo widzę, że tam różni inni chodzą, żeby nas nie podsłuchali...

Pan SERWACY i pan INTELLIGENSKI (*wchodzą*).

SERWACY. Nie wiesz pan co tam Krakowianie między sobą agitują? coś oni knują — to pewna. Widzisz jak ich tam dwóch siedzi razem i szepczą?

INTELLIGENSKI. Łatwo zgadnąć, konspirują z reakcją i z ultramontanizmem całego świata. Zakuci nieprzyjaciele wolności, chcą obskurantyzmem zwyciężyć liberalizm i inteligencji nie dopuścić do znaczenia jak jej się należy! Feudały Klerykały, dla których wiekopomne dni marcowe są dniem żałoby, którzy mają za bohaterów jakichś królów i magnatów, Adamów Czartoryskich naprzykład i tym podobnych, a o Robercie Blumie, o Messenhauserze nawet nie słyszeli. (*Postawie krakowskiego między sobą*).

PIERWSZY. Co ty robisz.

DRUGI. Nudzę się — a ty?

PIRWSZY. Ziewam.

DRUGI. Nie wiesz co to dziś będzie na sessyi?...

PIERWSZY. Nie wiem, co mi do tego.

DRUGI. A będziesz mówił przy adresie?

PIERWSZY. Po co? na nic się nie zda.

DRUGI. A jak będziesz głosował? za poprawką czy przeciw?

PIERWSZY. Nie wiem — jeszcze o tem nie myślałem, zresztą na jedno wyjdzie...

SERWACY. Uważasz jak oni zawsze się kupy trzymają jak się naradzają, co za organizacya!

INTELLIGENSKI. Dla tego też cały sejm tyranizują.

SERWACY. Ale czego oni chcą naprawdę?

INTELLIGENSKI. Dwóch rzeczy: reakcyi, a potem supremacyi Krakowa i upokorzenia miasta Lwowa. Ich separatystyczne dążności...

JEDEN z KRAKOWIAKÓW. Co tam panowie mówicie o Krakowie? pewnie źle? Bardzo proszę i wymawiam to sobie! To miasto, które było kolebką naszej historii, które przez tyle wieków było stolicą naszych królów, które potem musiało innym ustąpić pierwszeństwa choć ono się jemu na-

leżało a dla wspólnego dobra poniosło tę ofiarę, to miasto zasługuje żeby...

WARSZAWIAK (*do Malwiny*). Więc proszę pani, jakież tu są główne stronnictwa...

MALWINA. O różne! są Mameluki, są Rezolucyoniści, są sto Jurcy, są Stańczyki... widzi pan tego bruneta z wąsikami to pierwszy mowca całego sejmu — słyszałam go raz na zgromadzeniu ludowem jak mówił o emancypacji kobiet... ah!

WOŁYNIAK. A ten blondyn w okularach?

MALWINA. Ej to nie — to Stańczyk...

POZNAŃCZYK. Co to znaczą te nazwiska?

MALWINA. Widzisz pan tego z wielkimi wąsami? To przecież pan wiesz kto on jest. Zresztą widzieliśmy go na kopcu Unii. To jeszcze sprawiedliwy demokratą choć głowa, między nami mówiąc... ale ten drugi, mały, czarny, z kozią bródką widzisz pan, to apostata... ma salon cały czerwony, ma służących w liberyi...

WARSZAWIAK. Ale pani pokazujesz nam ciągle ludzi, a my chcielibyśmy poznać stronnictwa, ich zasady, ich cele...

MALWINA. A chcesz się pan dowiedzieć, co to za stronnictwa? zaraz (*daje znak jednemu z posłów, który się przysuwa do łóża*). Ci panowie życzą sobie wiedzieć, co właściwie są Mameluki, czy nie mógłbyś mi pan wytłumaczyć?

NAPRZEKÓR. Z największą chęcią.

GŁOS. Na początku dziennym dyskusya adresowa: sprawodawca komisji zechce wnieść projekt adresu. (*Jeden z posłów wychodzi za kulisy, przyprowadza Adres, i sadza go przed sobą na trybunie*).

SPRAWOZDAWCA. Oto jest! macie go panowie przed oczyma, więc ja o nim nic mówić nie potrzebuje. Zresztą niech się sam chwali.

POSŁOWIE (*z ławek*). A jaki brzydki! Jaka nędzna figura! Jaki nędzny! Jak źle ubrany! Pfe! Pfe! Paskudny.

ADRES. Ja jestem adres polityczny, wielkiej doniosłości, wyraz dążeń, potrzeb i przekonań kraju; ja za niego stękam na wszystkie dręczące go dolegliwości, ja piszę kiedy go brzuch zaboli, jęczę kiedy głodny, tylko na jego zębienie nie mam sposobności płakać, bo mu zęby jeszcze nie rosną. Ja zawsze

ten sam, zawsze mówię o odmiennych warunkach i stosunkach kraju, o rozwoju jego ustroju i o szczupłych samorządach granicach. Wszystkim ministrom kiwam palcem w bucie, a za to wszyscy pokolei rzucają mnie in den Papierkorb. Moje całe nie-szczęście, że chęci u mnie wielkie tylko mi siły jakoś niedopisują.

Gdyby nie to byłbym bardzo porządnym adresem, i cały świat słuchałby mnie kiedy mówię, a tak i pies na mnie nie szczeknie, a ja gadam i gadam jak dziad do obrazu....

Pfe! Pfe... szkaradny, nie chcemy go.

POSEŁ I. Odrzucić! wyrzucić! do porządku dziennego!

POSEŁ II. Lojalny! pokorny! uniżony!

POSEŁ III. Zuchwały! impertynencki! rewolucyjny!

POSEŁ IV. Odesłać go do komisji!

ADRES. Gwałtu! nie chcą! (*ucieka*).

POSEŁ POPRAWKIEWICZ. Panowie! mojem zdaniem mogłoby z niego co być, gdyby go ozdobić kilkunastoma odpowiedniami poprawkami: I tak: zaraz wnoszę jedną o podatkach. Podatki oparte na fałszywym katastralnym pomiarze są zabójstwem, a kwoty, które dla naszego kraju proponuje Rezolucya.

REZOLUCYA (*wpada*). Kto mnie tu wołał? Przecież sobie przypomnieli, że ja żyję na świecie! A chcecie wiedzieć dla czego wasz adres taki lichy? Dla tego niewierni, wiarołomni, że o mnie w nim za mało. Ja jestem Rezolucya urodzona dnia 24 Września 1868 roku, jedna w ośmiu punktach i nierozdzielna, wasz sztandar, wasz program, wasze ultimatum, wasze maximum, wasze minimum, wasz dogmat, wał, który was broni od germanizacji i tarcza która was zasłania od Panslawizmu. Gdyby nie ja byłibyście już dawno Niemcami albo Moskalami. Jestem szczęśliwa i płodna! miałam wam urodzić odrębność, dotąd urodziłam tylko Elaborat, a byłam może jednym z tych wróblei co gwizdały na bezpośrednie wybory, ale to nie moja wina, Pan Bóg kule nosi: Zawsze ja wasz standar, wasz program, i wasza tarcza, weźcie mnie do Adresu. (*Wielkie brawo z ławkę*).

JEDEN ze STAŃCZYKÓW. Ta jeszcze łązi! Gotowa wrócić na dobre.

KILKA GŁOSÓW. Vivat! Vivat, niech żyje Rezolucya, wzięść ją do adresu! (*Robi się grupa koło Rezolucyi*).

FEDERACYA (*wchodzi*). A ja, cóż to, o mnie to nic nie będzie? Cóż to wy nie wiecie kto ja jestem, ja jestem Federacya. Urodzona w Grecyi za Amfiktyonów, czczona w wiekach średnich, wychowana w Szwajcaryi, osiedlona w Ameryce, ja jestem przyszłością środkowej Europy. Niech was to nie zraża że *sem* używam z czeska; ja mam wielką łatwość do języków i potrafię się wyuczyć wszystkich słowiańskich. Umiem już nawet trochę, po rosyjsku, a choć się wam to może nie podoba, to powiedzcie sami co jest gorszego. Piatset pałek Sukinsyn, jak Basamateremtete, albo kreuzhimmel-donnerwettersappermentkruzitürken nochamal?

KILKA GŁOSÓW. Precz, precz, idź do djabła.

POSEŁ FEDERACYI. Federacyo! nie kompromituj się! nie gadaj o Słowiańszczyźnie bo cię zaraz posądzą, że wracasz z etnograficznej wystawy z Moskwy....

FEDERACYA. Ja sem heska holka z czeskiej Prasy... Slawa!

GŁOSY. Marsz, marsz, nie masz tu co robić.

PAN FEDERACY. A ja wam przecież radzę włożyć ją do adresu i choćbym miał być sam jeden, przy niej stoję i stać chcę, (*Parę głosów z prawej strony*).

I my także, ale zdaleka.

PAN FEDERACY. Tchórze! (*Naprzekór do Chaosiewicza*). No a my.

CHAOSIEWICZ. To głupstwa, to szczegóły, a mnie chodzi o zasadę, zasadą zaś jest tylko Delegacya.

NAPRZEKÓR. Ale ten adres trzeba jakoś zmienić, bo inaczej jakże dowodzić że on zły?

CHAOSIEWICZ. Po co zmieniać? Jedno słowo za drugie, to dosyć, byle krzyczeć głośno, że jedno jest podłe i głupie a drugie mądre i polityczne....

NAPRZEKÓR. Jednak możeby włożyć trochę opozycji.

Dr MORDOBABA. To i moje zdanie. Recipe trochę rezolucyi, nieco ucisku, prześladowania i niesprawiedliwości, parę uncyi nieprzedawnionych praw, jeden gram nadziei, zmieszaj to wszystko, rozpuść w dwóch kwartach opozycji, a potem co roku zadawaj choremu po łyżce stołowej; tak się robią wszystkie adresy, to jest wszystkie dobre.

OPOZYCYA (*wchodzi*). Jestem na zwołanie; bezem-

nie adres być nie może, ja jestem alfą i omegą wszystkiego, bo nie uznaję nic i na nic się nie godzę. Ja jestem życiem, jestem ruchem, ja jestem popędem. Nie pytajcie czego chcę, bo ja niczego nigdy nie chcę. Gdybyście mi dali Polskę od morza do morza zarazbym wołała że za duża albo za mała, że powinna być inna. Ja dusza wolności i postępu, ja siła poruszająca historią, ja jedna prawa córka patriotyzmu, gromadźcie się koło mnie.

GŁOSY. Wiwat, wiwat — niech żyje opozycja (*robi się grupa koło Opozycji*).

WARSZAWIAK. (*Do Poznańczyka*). Coż to za chaos! rozumiesz ty co z tego!

POZNAŃCZYK. Ani słowa. Groch z kapustą! Co kto myśli, czego kto chce, i dla czego, ani się domyśleć.

LITWIN. A czekajmy jeszcze, może co zrozumiemy.

GŁOS z ŁAWEK. My zastupnyki russkaho interesu w austrijskim carstwi, choczem bezposrednich wyboriw.

DRUGI GŁOS. Ja sowerszenno — schłaszausia z besidu poczemnoho poperednyka.

GŁOS z za KULIS. Dyskusya otwarta: żąda kto głosu?

JEDEN z POSŁÓW. Proszę o głos.

WSZYSCY. Nie dać głosu zamknąć dyskusyę.

GŁOS z za KULIS. Dyskussya zamknięta.

POSEŁ. To nic nie szkodzi, ja przecie swoje powiem. (*Wychodzi na trybunę*). Panowie! Wśród kataklizmów grożących środkowej Europie, Sejm nasz ma rzucić słowo swoje na szalę wypadków! Chwila jest ważna i świat cały niespokojnie zwraca na nas oczy. Co zrobić mamy, tego ja nie wiem i wy podobno nie wiecie, ale coś zrobić musimy. Potrzebamy nam stronnictw politycznych silnie zorganizowanych, potrzebamy nam rezolucyi i to nie na papierze....

GŁOS z ŁAWEK. Ale w postępowaniu.

MÓWCA. Inaczej nasza autonomia zostanie zawsze anatomiją....

MORDOBABA (*z ławek*). Patologiczną.

MÓWCA. A nasza konstytucya konstypacyą!

MORDOBABA. Chroniczną.

MÓWCA. Skończyłem (*schodzi z trybuny*). Jakto? nie ma oklasków?

GŁOS z za KULIS. Żąda kto głosu?

CHAOSIEWICZ. Proszę o głos! Panowie! adres jaki nam Komissya przedłożyła żadnym sposobem przyjąć nie możemy. Nie znajduję w nim tej myśli politycznej, jaka w każdym adresie znajdować się powinna. Adres panowie jest aktem wielkiej doniosłości. (*Słuchajcie, słuchajcie!*). W nim Sejm robi użytek z przysługującego mu prawa i przemawia wprost do korony z całą szczerością i otwartością....

GŁOSY w ŁAWKACH. Brawo, brawo! to mowca, to głowa, to maż stanu!

MOWCA. Tymczasem z takiego adresu cóż korona dowiedzieć się może? Nic a nic. A gdybyśmy do niej przemawiali śmielszym tonem, z większą jednością i z myślą polityczną, to byłoby co innego. Naprzykład, gdybyśmy w pierwszym ustępie zamiast przecinka położyli średnik, w trzecim dwukropkę zamiast średnika, w przedostatnim zamiast jednego wykrzyknika, trzy wykrzykniki, wtedy nabrałby ten adres mocy i znaczenia, wtedy stałby się aktem politycznym wielkiej doniosłości i wtedy tylko mógłbym za nim głosować. Dla tego postawię przy szczególnej rozprawie wszystkie wyżej wymienione poprawki, a jeżeliby one upadły, oświadczam że będę głosował przeciw całości.

STAŃCZYKI. (*Między sobą*). Gwałtu to zmienia całe stanowisko sejmu! to droga do rewolucji! Największe niebezpieczeństwo!

POSEŁ MODERATOR. Proszę o głos Panowie! Z informacyi moich bardzo sekretnej natury, mogę wam udzielić tylko tego, że gdyby utrzymać się miały poprawki proponowane przez poprzedniego mówcę, sfery decydujące uważałyby to za wypowiedzenie wojny i nie cofnęłyby się przed niczem... przed niczem....

GŁOSY. Gwałtu!

NAPRZEKÓR. Proszę o głos Panowie! Ja tu dopiero strzelę tak że aż się wszystkie szyby zatrząsą, puszcze wam takiego szmermela jakiegoście jeszcze nie widzieli — wystąpię z siłą, która was wszystkich porwie za sobą, albo pokona.

GŁOSY. Słuchajcie! słuchajcie! coż dalej?

NAPRZEKÓR. Jakto co dalej? Nic. Skończyłem! Czyż nie dosyć! (*wielkie oklaski*).

GŁOSY w ŁAWKACH. Ależ tego mówi; ależ ich zeznał! Co za ogień! co za talent! Ministeryalna głowa!

INNY POSEŁ. Panowie! Powodem wszystkiego złego jest wysyłanie delegacyi do Rady państwa....

INNY. Przepraszam, powodem wszystkiego złego jest to, że do Rady Państwa idzie ta delegacya a nie inna....

TRZECI. Powodem wszystkiego złego jest zły wymiar podatków, kataster panowie....

CZWARTY. Złe leży gdzie indziej, mianowicie w tem że moja droga z Capowic do Barana nie skończona....

PIĄTY. Że kwestya emancypacyi kobiet i uniwersytety żeńskie....

SZÓSTY (*Staińczyk*). Nie panowie! Powodem a zarazem objawem i miarą wszystkiego złego jest to że Przegląd polski ma za mało prenumeratorów ...

SIÓDMY. Przepraszam, to że ptaki pożyteczne i inne ozdoby Flory i Fauny krajowej nie są wzięte pod opiekę prawa.

ÓSMY. Że nie ma Gminy Zbiorowej.

DZIEWIĄTY. Sądów pokoju.

DZIESIĄTY. Kanclerza dla Galicyi.

JEDENASTY. Zakładów gimnastycznych.

DWUNASTY. Małżeństw cywilnych i rozwodów.

TRZYNASTY. Że chorych po szpitalach pielęgnują siostry Miłosierdzia.

CZTERNASTY. (*chłop*). Kaj ta kaj Panowie, psycyna wsyckiego złego to zydy psie juchy.

INNY CHŁOP RUSIN. Lisy i pasowiska.

GŁOS z za KULIS. (*Sztuknięcie laską*) Panowie zdaje mi się że odchodzimy od materyi.

GŁOSY. Zamknąć dyskusyę.

INNE. Już dawno zamknięta.

GŁOS z za KULIS. A kiedy zamknięta to czemuż panowie gadacie?

GŁOS z ŁAWEK. A czemuż nam pozwalają?

GŁOSY. Wybrać jeneralnych mówców — wybierać, wybierać....

WARSZAWIAK. Wieża Babel!

GŁOS z za KULIS. Ponieważ z zapisanych dziewięć-

dziesięciu dziewięciu posłów żaden nie wiedział czy chce mówić za adresem czy przeciw, przeto zgodzili się wybrać tylko jednego jeneralnego mówcę, którym jest poseł Loskorz. Poseł Loskorz ma głos.

LOSKORZ. Moi panowie kochani ja wam tu dużo czasu nie zabiorę, nie bójta się — Ja ino wam chcę powiedzieć co u nas w górach skwierk wielki, bo to tam chleb się kończy a woda się zacyna. My tu nie jesteśwa od tego coby wsej-ćko było dobre, coby były i szkoły i drogi i śpitale wsyćko jak się patsy. Ino ze to tsa płacić a płacić, a skądze wziąć, kiej nie ma. Wy se tu myślicie ze cłek ma z cego, a zeby-ście to uradzili coby my tu w kraju mieli wsyćko co nam po-tseba, a bez pieniędzy, toby was ludzie błogosławili co aze strach i Pan Bóg by was błogosławił. Ale wy moi ludzie jak się zjedziecie to ino gadacie a gadacie a z tego wsyćkiego ga-dania nic; kłóćcie się ze i zrozumieć ciężko o co, a jak cło-wiek do dom wróci, to go ludzie obsiadą a pytają, a coześ-cie ta zrobili, a co to z tego za pozytek, a cłowiek ani weź nie wie co powiedzieć. Dla tego moiściewy moja rada robić inacej, bo jak dalej pojdzie tak jak dotąd, to nie będzie ani Panu Bogu na chwałę ani ludziom na pozytek. Tyle wam miałem powiedzieć.

WARSZAWIAK. Ten podobno najrozsądniejszy.

GŁOS z za KULIS. Dyskussya skończona — Sprawo-zdawca ma głos.

SPRAWOZDAWCA. (*Z trybuny*). Reassumując tę świe-tną i ze wszech miar wyczerpującą dyskusję muszę tylko w zakończeniu powiedzieć że jak się z niej po tylu wymo-wnych głosach wyraźnie pokazuje, powodem wszystkiego złego jest to że dom dla Półgłózków na Kulparkowie nie jest jesz-cze skończony. Dla tego poleca się Wydziałowi krajowemu żeby go jak najprędzej kończył, a Wysokiej Izbie adres do przyjęcia.

GŁOS z za KULIS. Kto jest zatem zechce wstać. (*Gwar, nikt nie słucha i nikt nie wstaje*).

GŁOS. Wniosek przyjęty. Adres gdzieś uciekł, ale się go znajdzie i zaraz pošle do Wiednia. Z porządku dziennego następuje uzupełnienie wyborów do Rady państwa.

GŁOSY. Delegacya! delegacya! Gdzież ona jest?

DELEGACYA (*wchodzi*). Jestem na zawołanie najnie-
szczęśliwsza kreatura pod słońcem, kogut z bajki, co wszyst-
kiemu winien. W Wiedniu biją mnie Niemcy, a w domu Po-
lacy. Nikomu nie mogę dogodzić! „Gazeta Narodowa“ pisze,
żem zaprzędana; „Czas“, że nie mam rozumu politycznego;
„Kraj“, że nie dość opozycyjna; „Przeгляд Polski“, że za-
nadto. Pan Dobrzański ciągnie mnie za poły, żebym wycho-
dziła z Reichsratu; pan Koźmian za drugie, żebym nie wy-
chodziła. Czegóż odemnie chcecie? Co ja nieszczęśliwa mam
począć?

FEDERACYA. Wyjść z Reichsratu i nie wracać!

REZOLUCYA. Mnie wywalczyć, walczyć, walczyć!

OPOZYCYA. Złożyć mandat, ustąpić miejsca lepszej niż
ty! W stan oskarżenia! Pod sąd z nią! (*Wielki gwar na de-
legacyę*).

DELEGACYA. Złożyć mandat? a i owszem....

POSEŁ MODERATOR. A bezpośrednio wybory!

WSZYSCY. Gwałtu, bezpośrednio wybory! Prawda!

GŁOS z za Kulis. Panowie, sesya nasza tegoroczna za-
częta dziś o godzinie 11ej minut 17, ma być zamkniętą, jak
panom wiadomo, dziś o godzinie 12ej bez 17 minut. Mamy
jeszcze do załatwienia bardzo wiele bardzo ważnych spraw,
które czekają załatwienia. Dlatego proszę panów, żebyście
z podwójną pilnością zechcieli je wziąć pod obrady, żebyście
w tej sesyi jeszcze mogli je załatwić. Niektóre komisye już
wygotowały swoje prace i mogą wystąpić z referatami.

JEDEN Z POSEŁÓW. Ja w imieniu komisyi szkolnej
oświadczam, że komisya ta, która dobrze zasłużyła się kra-
jowi, która w tym sejmie, że tak rzekę, ma już swoją hi-
storyę, wypracowała dziewiętnaście projektów do ustaw, wszyst-
kie djabła warte, ale wszystkie co najmniej po sto paragrafów.
Spodziewam się, że ta komisya, która się dobrze zasłużyła
krajowi, która, iż tak rzekę, ma już w tym sejmie swoją hi-
storyę, znajdzie u tej wysokiej Izby tyle zaufania, że wnioski
jej przyjęte będą en bloc.

GŁOSY. En bloc, en bloc, przyjąć wszystkie dziewię-
tnaście en bloc.

POPRAWKIEWICZ. Ale jakże bez dyskusyi, bez po-
prawki....

GŁOSY. En bloc, en bloc.

GŁOS z za KULIS. Kto jest za przyjęciem tych dziewiętnastu ustaw en bloc, zechce wstać. (*Wszyscy wstają.*) Ustawy przyjęte.

INNY POSEŁ. Ja w imieniu komisji drogowej oświadczam, że komisya ta wypracowała ogólny plan sieci dróg krajowych i proszę, żeby go wysoka Izba przyjąć raczyła.

GŁOSY. Nie ma zgody, nie ma zgody!

JEDEN GŁOS. Nie ma drogi łączącej Pacanów i Kuliaków....

DRUGI. Droga z Morskiego Oka do Pięciu Stawów, najpotrzebniejsza w kraju jako łącząca dwa najhandlowniejsze punkta, jedyne w całym kraju, w których jest coś morskiego, a zatem mógłby być port, nie uznana za krajową, nie ma zgody.

TRZECI. Droga z Psiej Górki do Osłej Woli nie ma przechodzić koło mojej karczmy Hyclówki: nie pozwalam.

GŁOSY. Nie ma, nie ma zgody. Mojej drogi tam nie ma. Ani mojej. Ani mojej. Precz, precz z projektem, odesłać napowrót do komisji, do wydziału krajowego! (*Wielki hałas. Sprawozdawca schodzi z trybuny.*)

GŁOS z za KULIS. Panowie, już tylko półtrzeciej minuty czasu, a mamy jeszcze dyskutować i uchwalić budżet. Sprawozdawca komisji budżetowej ma głos.

SPRAWOZDAWCA KOM. BUDŻ. (*wychodzi na trybunę, niosąc kilka ogromnych foliatów*). Panowie! widzicie sami, czy możecie to wszystko przedyskutować przez półtrzeciej minuty?

GŁOSY. En bloc, en bloc!

POPRAWKIEWICZ. Budżet en bloc! zgroza!

INTELIGENSKI. To intryga wydziału krajowego, to dlatego, żeby sejm nie mógł go skontrolować i wejrzeć w jego manipulacje i różne nieładne sprawy, nie pozwalam.

GŁOSY. En bloc, en bloc...

GŁOS z za KULIS. Kto jest za przyjęciem budżetu en bloc, zechce wstać (*Wstaje*). Budżet przyjęty. (*Bije godzina.*)

WSZYSCY. Jakto? już? już się mamy rozchodzić, a tu jeszcze tyle najważniejszych rzeczy do roboty!

CHAOSIEWICZ. Oddać delegację pod sąd...

INTELIGENSKI. Wytoczyć proces wydziałowi krajowemu i wsadzić go do kryminału! Odebrać fundusz krajowy dla miasta Lwowa, jako jego prawną własność.

INNY. A tyle spraw nawet nietkniętych!

GMINA ZBIOROWA (*wchodzi*). A ja! a ja! Zróbcieź co zemną! Ja już tyle lat czekam, a odsyłacie mnie zawsze od Annasza do Kajfasza, to do komisji, to do Wydziału Krajowego, zawsze mi obiecujecie na przyszły rok, teraz nie mamy czasu; a ja czekam z roku na rok nie wiem już wiele lat, ale widzę, że nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje.

JEDEN Z POSŁÓW. Protegowana krakowskiego narodu.

DRUGI. Faworytka arystokratów, stańczyków, wsteczników.

TRZECI. Za drzwi z nią...

CZWARTY. Słuchaj ty, jak mi się ważysz jeszcze raz tu pokazać, to ci kości połamię.

PIERWSZY. Odesłać ją do Wydziału Krajowego na całe życia z poleceniem, żeby ją trzymał zamkniętą i nigdy nie wypuszczał. (*Gmina ucieka*).

SZKOŁA (*wchodzi*). A ja to dziękuję bardzo pięknie, nie tyle za to, żeście mnie panowie oddali pod nadzór przeróżnych rad miejscowych i okręgowych, które się nigdy nie zbiorą i nigdy nic nie uradzą, ale za sto pięćdziesiąt tysięcy ryniów, które od was dostałam.

JEDEN Z POSŁÓW. A któż ty jesteś?

SZKOŁA. Ja jestem szkoła. (*Śpiewa*).

GŁOS z za Kulis. To zdaje się, że już wszystko. Nie mamy więcej nic.

PROPINACYA. Jak to wszystko? a ja, o mnie zapominacie? O, wykupcie mnie z niewoli! (*Śpiewa*).

WARSZAWIAK (*do jednego z posłów siedzących pod łóżą*). Moglibyście też raz pozbyć się tego starego grata.

POSEŁ. Mybyśmy chcieli; ale czy możemy, to kwestya inna.

WARSZAWIAK. Cóż wam przeszkadza?

POSEŁ. Co? Podolska szlachta. Zobaczysz pan, jak tu pan Kukurudzki zaraz będzie protestował.

PAN KUKURUDZKI. Proszę o głos. Panowie, stracić ją, jej się wyrzec, to nad moje siły! Od śmierci nieboszczki dobrodziejki pańszczyzny, świeć jej Panie, ona mi jedna została sierocie za całą pociechę. To jedyna podpora mojej starości, osłoda w nieszczęściach, ozdoba w pomyślności, to moja kochanka, mój ideał, moje dziecko, moje życie, moje wszystko! Mówią, że to dychawiczna szkapa, co lada dzień zdechnie! Potwarz! oszczerstwo! Popatrzcie na nią, czy była kiedy w stanie bardziej kwitnącym, patrzcie na ten blask oka, na te róże z lilii na licu! I ja mam wyrzec się jej dobrowolnie! Nigdy! Romeo nie rozpaczał tak za Julią, Dante nie tęsknił tak za Beatryksą, Orfeusz nie tłukł się tak po piekle za Eurydyką, jakbym ja za nią tęsknił, płakał i rozpaczał. I ja także wyrwałbym ją samemu piekłu, bo moja miłość dla niej jest mocniejsza jak śmierć. (*Wielkie wrażenie, wszyscy płaczą; pan Kukurudzki pada na kolana przed Propinacyą i śpiewa*).

GŁOS z za KULIS. Więc cóż z nią zrobić?

GŁOS z ŁAWEK. Odwlec ad calendas graecas.

DRUGI GŁOS. Dać szybera.

TRZECI. Odesłać do wydziału krajowego!

PROPINACYA. O ja nieszczęśliwa! czuję, jak się zbliża moja ostatnia godzina! Dychawica mnie dusi! ratujcie! (*Wychodzi, kaszląc*).

GŁOS z za KULIS. Tym razem już podobno naprawdę koniec? (*Chór ptaków pożytecznych wpada*).

PTAKI. A my, cóż będzie z nami? My ptaki pożyteczne byliśmy tu tyle razy i zawsze byliście na nas łaskawi: obiecywaliście nam różne przywileje. Ale cóż, byliście zbyt liberalni, chcieliście równo z nami uprawnić różne podłe zwierzęta, niedoperza ssącego, który nie jest ptakiem, choć ma skrzydła; kolczastego jeża, który ma cztery nogi a żadnych już skrzydeł. To nonsens, to zupełnie tak, jak żeby kto powiedział, że wy nędzni Polacy jesteście tem samym co Niemcy! I przez tę pomyłkę my od tylu lat jesteśmy bez ochrony, nie możemy korzystać z dobrodziejstwa prawa. Zróbcież raz co z nami naprawdę.

GŁOSY. Te ptaki tylko nas na śmieszność narażają. Wyplószyc je. (*Ptaki spłoszone uciekają*).

GŁOS z za KULIS. Sejm spełnił wszystko, co miał do spełnienia, może spocząć na laurach, jest zamknięty.

GŁOSY w ŁAWKACH. A kiedy tak, to teraz zróbmy owa-
cęgę naszym braciom z za kordonu, którzy przybyli pokrzepić się
widokiem naszej autonomii, naszych praw, naszego publicznego
życia i politycznego rozumu.

WSZYSCY. Wiwat! wiwat! (*Obracają się do łoży.*)

JEDEN. Zaprowadźmy ich na kopiec Unii.

DRUGI. Do kasyna.

TRZECI. Na zgromadzenie ludowe.

CZWARTY. Na operę.

PIĄTY. Do klubu postępowego.

SZÓSTY. Na wyścigi konne.

SIÓDMY. Przeczytajmy im „Szcztka“.

ÓSMY. Dajmy im poznać wszystkie rozkosze i wdzięki
nadpełtwiańskiej stolicy!

WARSZAWIAK (*do swoich*). Jezus, Marya, będą znowu
mowy, bankiety.

LITWIN. Czarowniku zlituj się, przybywaj i ratuj!...,
(*Grzmot, błyskawica; wychodzi Twardowski w czarnoksiężskim
ubraniu*).

WSZYSCY. Gwałtu! co to jest! to pewnie bezpośredni
wybór!

TWARDOWSKI. Nie; ten przyjdzie, ale w tej chwili
to jeszcze nie on, tylko ja, Twardowski, mistrz czarnoksiężskiej
sztuki.

GŁOSY. Czegóż chcesz od nas, potężny czarowniku.

TWARDOWSKI. Od was niczego! Tych oto przychodzę
zapytać, czy was dosyć widzieli i — poznali?

WARSZAWIAK, LITWIN, WOŁYNIAK. O dosyć już,
dosyć!

TWARDOWSKI. I jesteście zbudowani tem, coście tu
widzieli?

WSZYSCY TRZEJ. Nie bardzo.

TWARDOWSKI. I chcecie tu dłużej zostać?

WSZYSCY TRZEJ. O, nie!

TWARDOWSKI (*do Galicyanów*). Wy więc dowiedźcie
się, że ci bracia wasi, od was nieszcześniejsi, waszego losu nie
zazdroszcząc, ale słysząc, że wam lepiej się niż im dzieje,

tęsknili za tem, żeby poznać wasz kraj swobodniej żyjący, a waszym widokiem pokrzepić się i zbudować. Ulitowałem się ich tęsknoty i sztuką moją przenieśliem ich tu do was. Ale cóż tu zobaczyli? Co? wy to sami najlepiej wiecie: rzeczy tak mało pocieszające i budujące, tak mało dające nadziei na przyszłość, że sami zostać tu nie chcą i proszą mnie smutno, żebym ich napowrót wziął do domu. Piękną widać znaleźli u was pociechę i otuchę.

GALICYANIN (*na kolanach*). Panie! my się już poprawimy, zareczamy, zobaczysz, tylko pozwól, żeby oni przy nas zostali.

TWARDOWSKI. Na teraz być to nie może, kiedyś w przyszłości, może wrócić do was i zostaną z wami, ale to wtedy dopiero, jak będziecie tego warci. (*Kreśli laską koła w powietrzu*).

(Zasłona spada.)

KONIEC.

B

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

F
5297